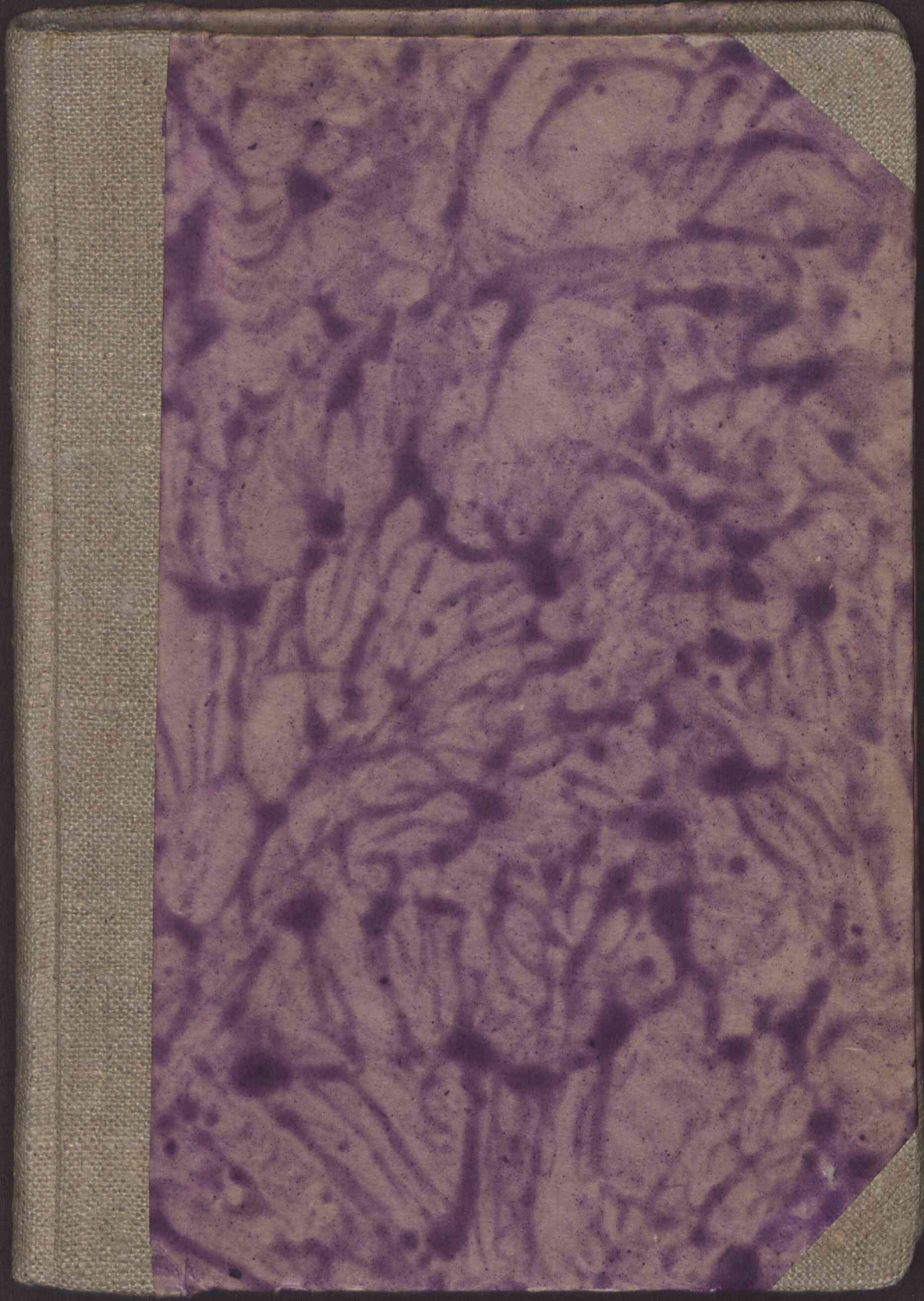
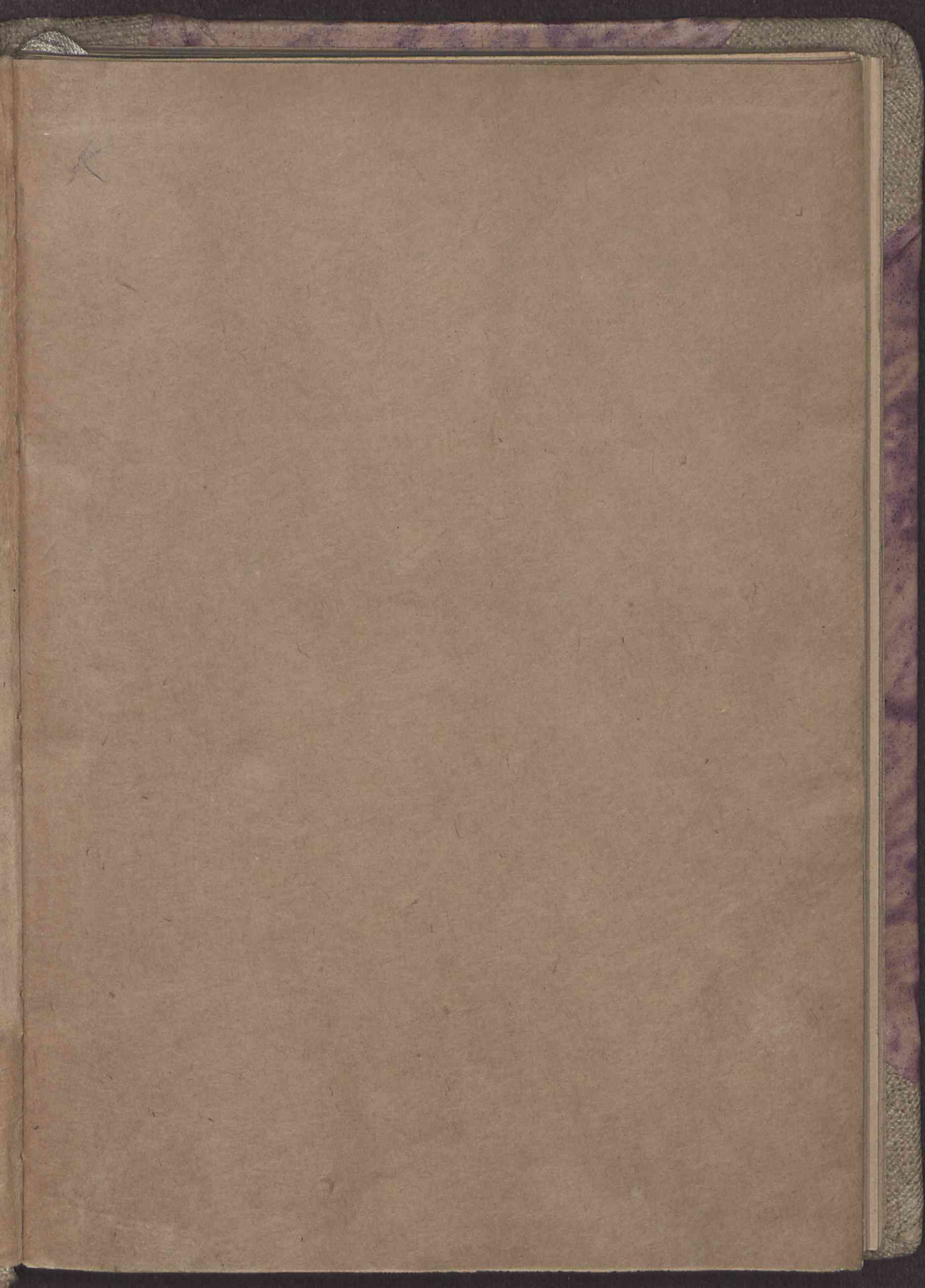






14211



BOY
O BALZAKU

CZYTELNİK



BOY-ŻELEŃSKI
O BALZAKU

T A D E U S Z B O Y - Ż E L E Ń S K I

O B A L Z A K U



1 9 5 0

» C Z Y T E L N I K «

S P Ó Ł D Z I E L N I A W Y D A W N I C Z O - O Ś W I A T O W A

Słowo wstępne
MACIEJA ŻUROWSKIEGO



Okladkę projektował
MAREK RUDNICKI



MAGAZYN

92: 840(09)

Dolnośląska Biblioteka Publiczna
we Wrocławiu



14301-100223879

9821

1051 K 2

Wszelkie prawa zastrzeżone / All rights reserved
Spółdzielnia Wydawniczo-Oświatowa „Czytelnik“
Printed in Poland

Składano i tłoczono w Drukarni Nr 3 „Czytelnika“ w Krakowie
Zam. Nr 701. 27. VII. 1950. Papier żeb. 61×86—80 g. Nakład 10400
Druk uk. 13. X. 1950
M-1-11509

Tadeusz Żeleński był szczególnie powołany do napisania tej książki. Niestrudzony tłumacz Komedii ludzkiej zdobył zupełnie wyjątkową zażyłość z ogromnym i już przez swój ogrom trudnym do ogarnięcia dziełem, zawierającym najistotniejsze elementy biografii Balzaka, którą należało dla użytku czytelnika polskiego zrekonstruować, ponieważ „balzakiści“ dawno już stwierdzili, że aby w pełni zrozumieć wymowę ideologiczną Komedii ludzkiej jako całości, trzeba koniecznie znać życie jej twórcy na tle stosunków panujących w monarchii lipcowej.

Poszczególne powieści Balzaka korzystają z przywileju prawdziwych arcydzieł: są doskonale zrozumiałe i komentator niewiele ma przy nich do roboty, gdy już uprzytomnił czytelnikowi, jak odważnym nowatorem był pisarz, który w czasach romantyzmu tak ściśle wiązał losy swych bohaterów z warunkami ekonomicznymi. Dziś bowiem nie zastanawiającego nie widzimy w tym, że pierwsze zdanie powieści brzmi: „W epoce, gdy zaczyna się to opowiadanie, prasa Stanhope’a i rulony do farby drukarskiej nieznane były jeszcze w małych drukarniach na prowincji.“ Taki początek oznaczał jednak wtedy prawdziwą rewolucję, burzącą romantyczną konwencję powieściową. „Przy pomocy swego głębokiego instynktu rzeczywistości — pisał w roku 1859 Teofil Gautier — Balzac zdał sobie sprawę, że podstawowym czynnikiem rządzącym epoką, którą zamierzał odmalować, jest pieniądz, i w Jaszczurze miał odwagę przedstawić zakochanego człowieka niespokojnego nie tylko o to, czy wzruszył serce ukochanej kobiety, lecz także o to, czy wystarczy mu pieniędzy na opłacenie dorożki, którą wziął, aby ją odwieźć do domu. Jest to chyba przykład naj-

większej odwagi, na jaką pozwolono sobie w literaturze, i sama ta odwaga wystarczyłaby do zapewnienia Balzakowi nieśmiertelności.“

Obraz współczesnego społeczeństwa jest w *Komedii ludzkiej* tak dalece rewolucyjny, że zyskał sobie u twórców socjalizmu naukowego słowa najwyższego uznania. W miarę jak historia coraz wyraźniej ukazuje nam antyhumanistyczne oblicze kapitalizmu, coraz lepiej rozumiemy obraz nakreślony przez Balzaka. Nawet ten krótki czas, który upłynął od powstania książki *Boya*, przyczynił się do wyjaśnienia wielu spornych kwestii. Dziś na przykład nie jesteśmy już skłonni sądzić, że można z *Komedii ludzkiej* czerpać sprzeczne obserwacje i nauki, jakkolwiek istnieje sprzeczność między demaskatorską wymową dzieła a deklaracjami politycznymi autora: Balzac bezwzględnie potępia swą epokę, zdeprawowaną do szpiku kości przez żądzę złota, a jednocześnie namiętnie ją pochwala, oświadczając, że nie tworzy społeczeństwa według swego upodobania, ale musi je przyjąć takie, jakie jest. Dlaczego doszło do tak dziwnej sytuacji? Można to zrozumieć dopiero wtedy, gdy się zna życie Balzaka oraz środowisko, z którego pochodził i w którym tworzył.

Karol Marks nazwał monarchię lipcową „towarzystwem akcyjnym do eksploatacji francuskiego bogactwa narodowego“. Bogactwo to znalazło się w rękach burżuazji, wyniesionej na powierzchnię życia politycznego przez Wielką Rewolucję i teraz zbierającej dla siebie wszystkie jej owoce. Balzac, zrośnięty ze swą klasą, czuje się akcjonariuszem tego towarzystwa i pragnie dotrzeć do jego najbardziej arystokratycznych szczytów w zamian za podpieranie tronu i ołtarza. Tu jednak zaczyna się triumf geniusza i uczciwości: wbrew swym najżywniejszym interesom klasowym wielki realista nie zamyka oczu na rzeczywistość i pokazuje, jakie straszliwe spustoszenia niesie ludzkości kapitalizm.

Biografia Balzaka jest zresztą interesująca i z innych powodów. Dowiadujemy się dzięki niej, ile różnorodnych a prawdziwych, nieraz bardzo kosztownych doświadczeń złożyło się na dzieło, które całe pokolenia krytyków uparcie wywodziły z wizjonerskiej wyobraźni autora, a nie z realistycznej obserwacji. I wreszcie, życie Balzaka jest pasjonujące samo przez się. Śmieszne i zarazem wznioste, jakby według recepty dramatu romantycznego, wzrusza nas, bo jest ciągłą

walką. Walką o sławę i pozycję społeczną, walką z własnymi złudzeniami i słabościami. Biografia Balzaka jest właściwie powieścią należącą do jego wielkiego cyklu — nie napisaną, ale pełną takiej samej głębi jak Stracone złudzenia. Nikt nie mógł lepiej odtworzyć tego życia niż *Boy*, poruszający się w świecie Komedii ludzkiej z tak absolutną swobodą. Dobrze się więc składa, że stulecie śmierci największego powieściopisarza Francji możemy uczcić książką przypominającą nam jednocześnie genialnego tłumacza, któremu Polska zawdzięcza znajomość Balzaka.

MACIEJ ZUROWSKI

Honoriusz Balzac urodził się w Tours dnia 20 marca roku 1799. Mimo że miał się podpisywać *de Balzac*, a nawet, w epoce swoich światowych sukcesów, zdobić drzwiczki powozu starożytnym herbem rodziny Balzac d'Entragues, w żyłach jego płynęła tęga krew francuskich chłopów. Rodzina ta nie pochodziła z Turenii, ale z ziemi albigensów, z południa Francji; i w istocie kipiąca wyobraźnia, furia temperamentu Balzaka mają coś południowego. Ale ziemia Turenii, ziemia szczęśliwego klimatu i słodkiego *far niente*, została dla niego zawsze idealnym miejscem wypoczynku, gdzie najchętniej się chronił, ilekroć upadał pod brzemieniem prac. Dziadek Balzaka był chłopem, a jeszcze ojciec nosił za młodu nazwisko Franciszek Balssa. Z zamętu panującego we Francji po rewolucji, która zniosła szlachectwo, skorzystało wielu ambitnych plebejuszów, aby się... uszlachcić; toteż ów ojciec Balzaka, człowiek rzutki i przedsiębiorczy, pierwszy — dość nieśmiało jeszcze — dokonał na swoim nazwisku tej operacji. Nie pozostało to może w przyszłości bez wpływu na arystokratyczne poglądy wielkiego pisarza, które nieraz tak się kłóć z demokratycznym charakterem jego dzieła.

W tej samozwańczej nobilitacji Balzac nie był bez poprzedników. Niejeden z tych, którzy dziełami swoimi przygotowali wielką rewolucję, uległ tej słabostce, która zresztą nikogo nie oszukiwała. „Nie mogąc zmienić przesądu, trzeba mu się poddać“ — powiedział młody syn zegarmistrza, Caron, i przybrał sobie, od jakiegoś nie wiadomo czy istniejącego folwarczku, nazwisko *de Beaumarchais*. *Monsieur de Voltaire* nazywał się Arouet i był synem adwokata. *Monsieur de Chamfort* był nieprawym



dzieckiem i miał tylko imię — Nicolas. A młodość Balzaka i początki jego kariery przypadają na epokę, w której, po upadku Napoleona i powrocie wygnanej dynastii, powróciły również dawne rodowe przywileje i przesady, wskrzeszając urok arystokratycznego pochodzenia.

Czym był ojciec Balzaka, Bernard Balssa, za dawnej monarchii — nie bardzo wiadomo. Liznąwszy nieco łaciny i prawa — z łaski proboszcza i rejenta, uderzonych inteligencją chłopca — dostał się do Paryża. Ale podczas rewolucji jest sekretarzem ministra marynarki, potem czymś w intendenturze armii północnej. Żeni się z córką jednego ze swych przełożonych, panną Salambier, i za jego poparciem robi karierę w intendenturze. Ta panna Salambier, matka wielkiego pisarza, była czystej krwi mieszczką paryską ze wszystkimi zaletami i wadami francuskiego mieszczaństwa.

Ojciec Balzaka był to człowiek nieprzeciętny. Okazałej powierzchowności, olimpijski i jowialny, gaduła i weredyk, miał swoje poglądy na wszystko, często bardzo oryginalne. Jako prawy syn XVIII w. i wyznawca Jana Jakuba Rousseau — mimo że na stoliku przy jego łóżku leżał zawsze tom Montaigne'a lub Rabelais'go — tworzył sobie swoje własne poglądy społeczne, ale również i eugeniczne. Zastanawiał się np. nad sposobami poprawienia rasy, gorsząc się tym, że rządy tak mało poświęcają uwagi hodowli człowieka. Uważał, iż pełnia życia zaczyna się po przekroczeniu lat stu, i obiecywał sobie doczekać tej pełni. Studiował (jak margrabia d'Espard w *Kurateli*) obyczaje Chińczyków, znanych z długowieczności; miał swoje teorie co do równowagi sił życiowych. Napisał kilka memoriałów, np. „O sposobach zapobieżenia kradzieżom i morderstwom“, „O nieporządkach sprawianych przez uwodzenie dziewcząt“ — co nie przeszkodziło, że sam w siedemdziesiątym roku życia stał się podobno przyczyną takiego „nieporządku“. Balzac odziedziczył po ojcu jego werwę, jego grandilokwencję, encyklopedyczną pamięć, a także jego pasję do uogólnień, reform i teoryj, w których rozwinął niejedną myśl swego życiodawcy (np. w *Fizjologii małżeństwa*).

W czasie pobytu w Tours, gdzie Bernard Balzac był dyrektorem przytułku i zastępcą mera, państwo Balzakowie prowadzili tryb ży-

cia zamożnych mieszczan. Ojciec cieszył się pobłażliwą sympatią miasta; matka, pani Laura, o trzydzieści dwa lata młodsza od męża — który zaślubiając młodszą dziewczynę mówił o sobie: „Jestem piękny jak marmur, a krzepki jak drzewo“ — ładna i sprytna osoba w typie kobiet z XVIII wieku, królowała w swoim świecie. Uważająca na formy, trochę despotka, nerwowa, niespokojna i nieczućca w domu niepokój, niezadowolona po trosze ze wszystkich i ze wszystkiego, miała pewną skłonność do lektur mistycznych; w jej szafce podobno znajdzie Balzac Swedenborga, Jakuba Boehme, Saint-Martina, kiedy pod wpływem „Cudzoziemki“ — kobiety z Północy — nabierze ciekawości do nich.

Przyszły wielki człowiek kochał matkę i bał się jej straszliwie: nawet kiedy przestał być dzieckiem, głos jej przyprawiał go o drżenie. W domu Balzaków mieszkała i babka, pani Salambier, nie cierpiąca swego sędziwego zięcia i jeszcze nerwowsza od córki, tak że był to dom równie burzliwy jak oryginalny. „Cha, cha! — pisał później młody Balzac do siostry — ładna kolekcja oryginałów ta nasza święta rodzinka! Co za szkoda, że nie mogę jej wpakować do powieści!“

Państwo Balzac mieli czworo dzieci. Powieściopisarz był pierworodnym; miał brata Henryka i dwie siostry, z których starsza, Laura (po mężu Surville), była jego przyjaciółką i powiernicą i zostawiła później wspomnienia o nim.

Honoriusz był to pyzaty chłopak, silnie, ale ciężko zbudowany, tryskający życiem, hałaśliwy. Natura jego, kochająca, skłonna do wylewów, z trudem poddawała się rygorom patriarchalnego wychowania oraz wymaganiom „dobrego tonu“, którego przestrzegała matka. Chłopiec, który ubóstwiał matkę, cierpiał przez całą młodość na zdławioną czułość, podczas gdy faworytem pani Laury był Henryk, który miał rodzinie zgotować same zgryzoty. Coś z tych niesprawiedliwości matczynego serca, coś z własnych bólów artysty odbija się w powieści *Kawalerskie gospodarstwo*, gdzie Balzac włożył dużo z siebie samego w wielkiego malarza, Józefa Bridau. W ogóle, dla kogoś, kto umie je czytać, utwory Balzaka są cennym materiałem do jego biografii duchowej.

Zresztą, dzieciak niewiele czasu był w domu. Do czwartego roku

życia — francuskim obyczajem — na mamkach; od piątego roku posłano go do szkółki. Od dziecka trawiła go żądza czytania, rzucał się wprost na książki. Uczniem był lichym: zahukany w szkole, zmrożony w domu, uciekał w marzenie, tworzył sobie urojony świat, w którym był bohaterem.

W dziewiątym roku oddano chłopca do kolegium w Vendôme, prowadzonego przez oratorianów. Wspomnienia tych lat opisuje w *Louis Lambert*, powieści poniekąd autobiograficznej. Panował tam surowy rygor wojskowy i zakonny zarazem.

„Reguła zabraniała wyjazdu na wakacje; uczniowie nie opuszczali kolegium do ukończenia studiów. Z wyjątkiem przechadzek pod dozorem ojców, wszystko zmierzało ku temu, aby dać zakładowi charakter klasztornej dyscypliny. Za mego czasu »korektor« był jeszcze żywym wspomnieniem, a klasyczna »feruła« skórzana odgrywała zaszczytnie swą klasyczną rolę. Kary niegdyś wymyślone przez oo. jezuitów, groźne zarówno moralnie jak fizycznie, przechowały się w nienaruszonej postaci. Listy do rodziców w pewne dni były obowiązkowe; toż samo spowiedź. Wszystko nosiło piętno klasztornej jednostajności. Przypominam sobie, wśród innych pozostałości dawnego zakładu, inspekcję, której poddawano nas co niedziela. Staliśmy w galowych mundurach, w szeregu jak żołnierze, oczekując dwóch dyrektorów, którzy, w otoczeniu rzemieślników i nauczycieli, badali nas pod trojakim względem: stroju, higieny i moralności.“ (*Louis Lambert*).

W tych posępnych murach z niewielkim ogrodem, jak w więzieniu, w brudnych salach, w ponurych refektarzach i sypialniach, z odmrożonymi wiecznie nogami w zimie a rękami posiniaczonymi od feruły prefekta, młody Honoriusz pędził smutne życie oraz pobierał nauki, od których zresztą uciekał, ile mógł, aby beztładnie pochłaniać książki. Pasja czytania wzmogła się w nim jeszcze. Uchodził za chłopca leniwego i upartego, przynoszącego wstyd zakładowi. Tępy, zwłaszcza do łaciny i greki, ożywiał się jedynie przy historii. Poza tym ociężały, apatyczny... Nie wiedzieli nauczyciele, jaki wulkan wrze pod sklepieniem czaszki tego dziecka. Spadały nań wieczne kary, pensa, „k o z a“ wreszcie, na którą skazywano go na całe tygodnie. Ale to mu najmniej dolegało, byle mógł myśleć,

czytać i — być sam. Z księdzem, który go miał obuczać matematyki, zawarli cichy układ: nauczyciel zajmował się uczniem jak najmniej, a w zamian pozwolił mu czerpać bez ograniczeń z zakładowej biblioteki. Chłopiec pochłaniał bez wyboru najpoważniejsze dzieła: traktaty religijne, chemię, fizykę, historię, filozofię. Czytywał chętnie nawet słowniki, dumając nad sensem słów, nad ich przeobrażeniami w ciągu wieków.

Być może, iż Balzac, pisząc swoją powieść, ubarwia nieco owe wspomnienia z dzieciństwa, że czyni się dojrzalszym, niż był w istocie. Tam, w tym posępnym kolegium Vendôme — jeżeli brać dosłownie zwierzenia jego z *Louis Lambert* — zaczął pisać *Traktat o woli*, w sensie pojmowania woli jako materialnego niemal fluidu; tam czynił pierwsze obserwacje z zakresu *metapsychiki*, nauki, która wówczas nie była nawet w załączku, a której zjawiska — jasnowidzenie, przenoszenie się na odległość — miały go zajmować zawsze.

Co się stało z tym *Traktatem o woli*? W *Louis Lambert* znajduje się dramatyczna scena, gdy, po zaciętej obronie, władze szkolne zagarniają skrzynkę z niedozwolonymi rękopisami. „Ojciec Haugoult sprzedał zapewne jakiemu sklepikarzowi w Vendôme *Traktat o woli*, nie znając doniosłości skarbów, których zarodki zmarniały w rękach nieuków“ — kończy Balzac na wpół żartobliwie a na wpół żalem.

Próbował się i w literaturze pięknej. Koledzy nazywali go „poetą“: istotnie spłodził nieszczęśliwy poemat o królu Inkasie, z którego jakiś niewydarzony wiersz stał się w szkole przysłowiem i przyczyną prześladowania ze strony kolegów. Znany jest los nieszczęsnego chłopca, w którym koledzy odkrywają skłonność do pisania wierszy...

W tym kolegium spędził tępy i leniwy uczeń sześć lat, oddany pracom, których nikt nie podejrzewał. Ten tryb życia podkopał wreszcie zdrowie chłopca; owo zdrowie, którym tak tryskał w domu rodzicielskim. Pobladł, oczy mu się zapadły. Jego wygląd, stale jakby nieprzytomny, zaniepokoił wreszcie przełożonych. Wezwano rodziców, poradzono im, aby zabrali syna do domu.

Tam, na powietrzu, w ruchu, dzieciak rychło przyszedł do siebie, odzyskał humor i rumieńce. Bezladne lektury miały czas ułożyć się w głowie. Pod ciężkawymi pozorami kiełkuje w tym chłopcu nie-

pospolita inteligencja, a zarazem rodzi się w nim nieusprawiedliwiona na pozór niczym wiara w siebie. „Zobaczycie, że będę wielkim człowiekiem“ — zwierza się siostrze. I siostry wierzą w niego; matki tylko nie zdoła przekonać bardzo długo, nawet wówczas, kiedy już będzie wielkim naprawdę. Kiedy zrobi jakąś nad wiek inteligentną uwagę, matka przywołuje go do porządku swoim oschłym: „Nie rozumiesz widocznie tego, co mówisz“.

Miał lat piętnaście, kiedy rodzina przeniosła się do Paryża, gdzie pan de Balzac otrzymał posadę w urzędzie aprowizacji. Honoriusz chodzi na pensję pana Lepître, zagorzałego rojalisty, gdzie w dalszym ciągu jest miernym uczniem, ale wreszcie kończy gimnazjum. Ojciec decyduje, że ma chodzić na prawo; aby zaś połączyć teorię z praktyką, będzie jednocześnie praktykował u rejenta i u adwokata.

W istocie spędził młody Balzac półtora roku u adwokata Merville (jeden z dwu najtypowszych adwokatów *Komedii ludzkiej* będzie się nazywał Derville), po czym odbywa praktykę u rejenta. To — poza późniejszymi osobistymi doświadczeniami — tłumaczy doskonałą znajomość wnętrza kancelarii prawniczych, która przejawia się w tylu utworach Balzaka. Tu musiał młodymi oczami oglądać niejedną z owych paryskich dramatów, które później umiał tak genialnie ożywić. Widział bardziej ludzi niż akta, które kopiował; ale ileż miejsca w jego dziele zajmą później testamenty, procesy, kruczki prawne!

Przez te trzy lata prowadzi Balzac życie bardzo pracowite — na swój sposób. W kancelarii ospały, zyskał sobie u kolegów-gryziopiórków przydomek „słonia“. Pilniej uczęszcza na kursa prawne; ale równocześnie, wciąż dręczony obsesją literacką, wykrada się do Sorbony na wykłady pp. Villemain, Guizot, Cousin, którzy starali się ożywić martwe wówczas we Francji dziedziny krytyki, historii i filozofii. I pisze, i marzy o laurach wielkiego człowieka. Mieszka w domu; matka pilnuje go, aby nie miał za dużo swobody; o piątej musi wstawać, o dziewiątej ten posłuszny dwudziestoletni chłopiec idzie spać; a jest pod kontrolą, bo pokój ma obok gabinetu ojca. Musi zdać sprawę ze sposobu, w jaki spędził każdą godzinę. Jedyna rozrywka to wist lub boston w partyjce babuni, pani Salambier. Partyjka ta ma tę zaletę, że czasem dobra babunia da mu umyślnie

wygrać parę groszy; manna z nieba dla chłopca, systematycznie — zasada rodzicielskiej pedagogii! — pozbawionego pieniędzy.

„Ojciec — opowiada sobowtór Balzaka, Rafael de Valentin, w *Jaszczurze*¹ — nie opuszczał mnie nigdy; do dwudziestego roku nie zostawił mi nigdy do dyspozycji nawet głupich dziesięciu franków — olbrzymi skarb, którego niedościgłość kazała mi śnić niewymowne rozkosze; ale starał się bodaj dostarczyć mi czasem jakiej rozrywki. Kazawszy mi czekać na tę przyjemność przez całe miesiące, prowadził mnie do teatrzyku, na koncert, na bal, gdzie roiłem spotkanie kochanki. Kochanka! To była dla mnie niezależność. Ale płochliwy i nieśmiały, nie znając języka salonów, wracałem z sercem równie dziewiczym jak szalonym od pragnień. Potem, nazajutrz, osiodłany przez ojca niby koń żołnierski, znów szedłem do adwokata, na wykłady, do sądu...”

To były ciężkie lata: opisał je, przetworzone wedle wymagań powieści i udratyzowane, w *Jaszczurze*, w *Lekarzu wiejskim*. Mimo to nie traci humoru, a zwłaszcza wiary w siebie. Ten wiecznie roześmiany, hałaśliwy i niezręczny chłopak wciąż drażnił poważnych członków rodziny zapewnieniem, że — będzie wielkim człowiekiem.

Na tę drogę wielkości pchał go i brak sukcesów w życiu światowym. Mimo lekcji, jakich udzielał mu sam baletmistrz Opery, młodzieńcowi zdarzyło się przewrócić w tańcu; od tego dnia wyrzekł się tej sztuki i przyrzekł sobie tym mocniej zapanować nad społeczeństwem władzą ducha. Wskutek tych braków stał się od młodu tym bystrzejszym obserwatorem: „Jedynie — powiada — niezrozumiane i obolałe dusze umieją obserwować, bo wszystko je rani, a obserwacja rodzi się z cierpienia.”

Wspomnieliśmy, że w owej epoce pisał. Co pisał? — Wszystko. W papierach jego z owej doby znaleziono liczne wiersze, nie dokończony poemat o św. Ludwiku, przekłady, satyry, fragment dzieła *O bałwochwalstwie, deizmie i religii naturalnej*, plany dramatów, tragedji... Czuć, że jest jeszcze pod ciśnieniem wieku XVIII i klasyków. Nic z tych pierwocin nie nosi znamion jego talentu ani indywidualności i w ogóle dużo, dużo wody upłynie, zanim Balzac,

¹ *La Peau de Chagrin*.

nawet zaczawszy naprawdę pisać, znajdzie swą drogę. Mało który z wielkich pisarzy wykłubał się tak wolno i tak mozolnie.

Kiedy w roku 1819 dwudziestoletni Honoriusz złożył egzaminy prawnicze, ojciec oznajmił mu radosną nowinę. Zostanie rejentem, rejentem w Paryżu! Są widoki, że przyjaciel rodziny Balzaków — mający nawet wobec niej pewien dług wdzięczności — z zawodu rejent, po kilku latach, które młody Balzac spędzi u niego jako dependent, odstąpi mu swoją kancelarię. Szansa niesłychana: kancelaria rejenta w Paryżu to dostatek, niemal bogactwo, stanowisko, widoki na dobre małżeństwo, los! A bardzo było trzeba, aby najstarszy syn pomyślał o losie dla siebie i dla rodziny. Ojciec był stary (o pięćdziesiąt parę lat starszy od syna), przeszedł już na emeryturę; kapitał stopniał znacznie w nieszczęśliwych interesach; słowem, położenie materialne rodziny Balzaków mocno się pogorszyło. Honoriuszowi przypadło być opiekunem rodziny, myśleć o bracie, wydać za mąż siostry...

Toteż cóż za zdumienie, zgorszenie, kiedy chłopak odpowiedział, że — za nic w świecie nie będzie rejentem! Zrobił się gwałt. Matka wyrzuca mu niewdzięczność, ojciec nazywa go zakałą rodziny. Ale delikwent, który dotąd pozwalał się tyranizować bez oporu, odpowiada na wszystko z uporem muła, że nie będzie rejentem, że chce być sławnym pisarzem. Wszyscy w śmiech. Pisarzem! Jakież ma dane na to, jakie próbki talentu? To są fanaberie smarkacza, kiedy tu trzeba myśleć o życiu serio! Ale wszystko rozbijało się o stanowczy opór chłopca.

Ojciec, domorośły filozof, wpółdrwiąco patrzący na sprawy świata, łatwiej dałby się przekonać; ale matka, mieszcza francuska do szpiku kości, była w rozpacz. Już nie o same względy materialne chodziło; ale co powiedzą przyjaciele, sąsiedzi, skoro się dowiedzą, że syn porządnych rodziców jest literatem — wstyd! Wreszcie, kiedy nie było rady na upór, rozwiązano sprawę tak. Dano Honoriuszowi dwa lata czasu na udowodnienie swego geniuszu. Znajomym, dla zachowania pozorów, powiedziano, że wyjechał do krewnych, gdy w istocie wynajęto mu izdebkę na poddaszu w Paryżu, przeznaczając na wszystko 1500 franków rocznie. Został sam, bo rodzina przeniosła się dla oszczędności do Villeparisis, miasteczka opodal

Paryża; przydano mu starą służącą za opiekunkę. Ulokował się przy ulicy Lesdiguières, o dwa kroki od biblioteki Arsenału (czynsz izdebki na poddaszu — 60 franków rocznie), swobodny, szczęśliwy, pełen wiary w siebie i w przyszłość.

„Od dzieciństwa mianowałem się wielkim człowiekiem — zwierza się jako młody Rafael de Valentin w *Jaszczurze*. — Och, nie chciałbym mieć za przyjaciela młodego człowieka, który w marzeniach swoich nie splotał sobie wieńców, nie wznosił sobie jakiegos pędestału, nie roił tkliwych kochanek. Bywałem generałem, cesarzem, byłem Byronem i znów niczym. To igrałem na szczytach spraw ludzkich, to znów spostrzegałem, że trzeba mi dopiero przebyć wszystkie góry, wszystkie trudności. Ta kipiąca we mnie olbrzymia ambicja, ta wspaniała wiara w los — wszystko to ocaliło mnie...”

Ileż razy Balzac w swoich powieściach powróci do tych wspomnień młodości, malując owo klasztorne niemal życie, ową płodną i twórczą nędzę paryską! Ileż razy opisał ten swój pokóik, w którym marzył o podbiciu Paryża, świata: biurko, parę krzeseł, szafa w ścianie, łóżko żelazne, parę półek na książki, nie zawsze ogień na kominku... Tak mieszkali w *Straconych złudzeniach* Lucjan de Rubempré i wytrwali od niego d'Arthez; i tylu innych, którzy dali się strawić nędzy lub ulegli pokusom. „Wszyscy wielcy ludzie chowali się w szkole nieszczęścia” — tak szczebioce w listach do brata siostrzyczka Laurence, będąc zapewne echem osób dorosłych. Bezpośrednie i wzruszające nieraz dokumenty owego życia znajdują się w listach Balzaka z owej epoki do drugiej siostry, do Laury; a prawdziwe życie zazębia się, jak zawsze u Balzaka, z twórczością: imieniem L a u r y nazwie siostrę Rastignaca (*Ojciec Goriot*).

W istocie, cóż za kontrast! — dostatnie, przynajmniej co do materialnych warunków, życie w domu Balzaków, a ta izdebka nędzarza, niecznośnie gorąca w lecie, lodowata w zimie, gdzie koszt oliwy do lampy — trzy su — równy był dziennemu kosztowi chleba, gdzie młody panicz sam dla oszczędności chodzi po wodę, a najmniejsze zachcenie — np. porcję melonu — opłaca dniem postu. Ale w zamian co za bogactwo humoru, radości życia, wiary w siebie! Siostra pyta go o nowiny? — oto nowina: „Przy ulicy Lesdiguières nr. 9 ogień chwycił się głowy biednego chłopca i strażacy

nie mogli go ugasić. Zażęgła go piękna kobieta, piękna nieznajoma: zwie się Sława“.

Dodajmy, że przez wzgląd na rodzinę i dla oszczędzenia jej wstydu Honoriusz miał surowo wzbronione pokazywać się przez czas swojej próby w domu, a nawet w miejscach, gdzie mógłby go spotkać ktoś ze znajomych. Trzeba przyznać, że tego rodzaju układ, mocą którego ambitny młodzieniec miał, w ciągu dwóch lat, wykazać przed rodziną swój geniusz, nie był może najsposobniejszy do tego, aby pobudzić fantazję pisarską. „Dostałem twój list, w którym powiadasz: *Pisz, pisz, pisz!*...“ — czytamy w liście Balzaka do siostry z owych czasów. I pisał biedny geniusz, i męczył się idąc najfałszywszą drogą, osamotniony, nie zorientowany w życiu literackim ani w sobie samym, siłący się dociągnąć do pseudoklasycznych wzorów, gdy już dokoła szumiały wichry młodej sztuki. Siostra poddaje mu jako przykład jakąś współczesną tragedię o Marii Stuart; on sam chodzi do teatru oglądać Talmę w rolach wielkich Rzymian, czyta Tacyta. „Pochłaniam naszych czterech autorów tragicznych — pisze do siostry. — Crébillon uspokaja mnie, Wolter przeraża, Corneille porywa, Racine każe mi rzucić pióro...“

Ale nie rzuca pióra. Wśród mnóstwa szkicowanych w owej epoce dramatów, komedyj, powieści, decyzyja jego zatrzymuje się wreszcie na Kromwelu; to będzie jego arcydzieło, tragedia wierszem! Siedzi na swoim poddaszu w szlafroku i w starym szalu, o którego przysłanie prosił siostry, i rymuje bez wytchnienia, pokonywając wrodzony brak talentu do wierszy. „Chcę, aby moja tragedia była brewiarzem królów i ludów — powiada ze szczęśliwym brakiem skromności, który go cechuje. — Trzeba albo zacząć arcydziełem, albo kark skrócić.“

Wiara w siebie kipi w nim po prostu. Pisząc powieści, nowele, nawet libretto do opery komicznej, równocześnie marzy o karierze politycznej. Przewiduje rozkwit parlamentaryzmu — tego parlamentaryzmu, który tak surowo osądzi później w *Lekarzu wiejskim*. „Wielcy pisarze będą potrzebni: alboż nie jednoczą wiedzy, daru spostrzegania i głębokiej znajomości serca ludzkiego?“ Kto wie, może zostać nie tylko wielkim pisarzem, ale i wielkim obywatelem! Jedynie miłość i sława zdolne są wypełnić ogrom jego serca — spowiada się

siostrze, jedynej, która go nie wyszodzi, której może się zwierzać z takimi myślami.

Życie jego w owej porze jest bardzo niewinne, jak życie d'Artheza (*Stracone złudzenia*), jak życie Rafaela de Valentin. Samotność, praca... Czasem — wielkie święto! — teatr na najtańszym miejscu, skromna uczta, skoro z domu nadejdą jakie smakołyki. Na pozór ubóstwo wrażeń. Ale sam Paryż, ten Paryż, który poznał aż do najmniejszego zaułka, który tak miał ukochać i zrozumieć, czyż nie starczy za wszystko? Chodzi po tych ulicach, jakże niepodobnych wówczas do dzisiejszego Paryża (Paryż Balzaka, który on tak wyolbrzymił, który stworzył poniekąd, był mniejszy od dzisiejszej Warszawy); widzi, słyszy i chłonie wszystko: budowlę, ludzi, odgłosy ulicy. Ogarnia spojrzeniem horyzont miasta z wyżyn cmentarza Père-Lachaise, jak młody Rastignac w owym wspaniałym zakończeniu *Ojca Goriot*. „Spróbujemy się“ — mówi do tego drapieżnego miasta.

Później siłą swego geniuszu udratyzuje Balzac uroczne działanie tego Paryża — miasta wszystkich możliwości — na młodą wyobraźnię. Pokusy Paryża ucieleśnia się w pięknych i wytwornych kobietach, w oszołamiającym sukcesie zręczności i talentu, w kontrastach zbytku i nędzy, w demonicznym błysku zbrodni. Ale on sam w owym okresie, pracując w pocie czoła nad swoją tragedią, zachował dziwną niewinność duszy: „Śnić o pięknej przyszłości, myśleć o was, wiedząc, że jesteście szczęśliwi, mieć za kochankę Julię Russa, za przyjaciół Moliere'a i La Fontaine'a, za mistrza Rasyne'a, a Père-Lachaise za miejsce przechadzki... Och, gdyby to mogło trwać wiecznie!“

Istnieje opowiadanie, w którym Balzac wprost mówi nam o swoim ówczesnym życiu. To ów sławny ustęp z noweli *Facino Cane*, gdzie wyjaśnia swoją wręcz mediumiczną zdolność wcielania się w cudze egzystencje:

„Kiedy było ładnie, przechadzałem się po bulwarze. Jedna jedyna namiętność odrywała mnie od moich studiów — czyż i to nie było również studium? — chodziłem obserwować obyczaje przedmieścia, jego mieszkańców, ich charaktery... Obserwacja stała się u mnie już intuicyjna; wnikała w duszę nie zaniedbując ciała; lub raczej tak dobrze chwytła zewnętrzne szczegóły, że biegła natychmiast poza nie; dawała mi zdolność życia życiem osobnika, który był jej przed-

miotem, pozwalając mi wcielić się weń, jak derwisz z „Tysiąca i jednej nocy“ przybiera ciało i duszę osób, nad którymi wymówi zakęcie.

„Porzucać swoje nawyki, stawać się innym człowiekiem przez napięcie władz duszy, uprawiać tę grę wedle ochoty, to była moja rozrywka. Czemu zawdzięczam ten dar? Czy to jasnowidzenie? Czy to jedna z owych właściwości, których nadużywanie wiodłoby do szaleństwa? Nigdy nie dochodziłem źródeł tej władzy: mam ją i używam jej; to wszystko.“

Tak, to prawda: zdumiewające dzieło Balzaka potwierdziło te wyznania. Twórczość jego da się wytłumaczyć jedynie zdolnością wizyjną. Ale widocznie kapitał nabytych wówczas obserwacji gromadził się gdzieś niby w magazynach jego twórczej istoty. Bo wówczas, przy ulicy Lesdiguières, Balzakowi nie śniło się jeszcze, że ów drobny człowiek, którego życie i troski tak odgadywał, może być materiałem twórczym, ba, nawet — bohaterem. Wówczas jeszcze w jego pojęciu bohater musiał być na tronie albo choć w pobliżu tronu. Wracał tedy z przechadzki do domu i w pocie czoła pisał — *Kromwela*.

Dwa lata spłynęły szybko; nadeszła chwila, gdy młody twórca miał przedstawić owoc swej pracy rodzinie, która zupełnie serio traktowała tę dość niedorzeczną próbę. Kreśli i poprawia, maże i znów kreśli, kolejno przechodzi ataki zwątpienia i wiary, aż wreszcie decyduje się przeczytać owego *Kromwela*, który ma go wyzwolić z czeladnika na majstra.

Cała rodzina zgromadziła się w saloniku w Villeparisis, aby wysłuchać przyrzeczonego arcydzieła: ojciec, matka, siostry, przyjaciele rodziny zaproszeni na sędziów, zgodnie zresztą z życzeniem samego autora, który chciał mieć najliczniejszych świadków tryumfu. W gronie tym znajdował się i zgryźliwy staruszek, który z dawna przepowiadał młodemu Balzakowi, że dzięki foremnemu piśmu może być dobrym ekspedytorem, ale tylko tym...

Zaczyna się czytanie. Honoriusz rozpoczyna swoją tragedię z furją, ale stygnie mimo woli od chłodu słuchaczy. Kochająca siostra Laura, opisując później tę lekturę, przyznaje, że wrażenie było dość żałosne. Przyjaciel domu, ten, który już wprzód przeznaczył młodego Balzaka na diurnistę, mówi bez ogródek, co sądzi o tym „arcydziele”; inni potwierdzają jego ocenę.

Daremnie Honoriusz próbuje bronić swego utworu; wobec zwartej większości ustępuje; ale apeluje od tego wyroku. Sprowadzają superarbitra, powagę: starego profesora politechniki. To już będzie wyrok ostateczny! Staruszek przeczytał tragedię i orzekł, że jej autor może być wszystkim, wyjąwszy literatem.

Wszystko to nie zachwiało ani na chwilę wiary w siebie młodego

autora. Wysłuchał spokojnie i uznał, że widocznie tragedia nie jest dlań właściwą drogą; ale wyrzec się literatury — przenigdy!

Dwa lata paryskiej głodówki nadszarpnęły zdrowie młodego geniusza. Wyglądał jak zmora. Rejent czy literat, ale musi się odejść — to pierwszy nakaz matczynego serca. Zatrzymała go tedy pani Balzakowa w Villeparisis. Zresztą mieli czas się już oswoić z tym, że Honoriusz nie jest taki jak inni młodzi ludzie i że rodzinie zaszczytu nie przyniesie; niechże już sobie żyje po swojemu. Ale kiedy nieszczęsny autor *Kromwela* chciał przedłużyć próbę, żądając od rodziny jeszcze swej głodowej pensyjki — tysiąc pięćset franków rocznie — aby dalej pracować nad sobą w Paryżu, spotkał się ze stanowczą odmową. Dach nad głową i życie w domu — w Villeparisis — nie więcej.

Siedzi tedy w domu w Villeparisis, w beznadziejnej i upokarzającej sytuacji, bez książek, bez spokojnego kąta do pracy, bez atmosfery Paryża, a za to w atmosferze ironii i niedowierzania. Jakże tęskni za swoim poddaszem! Siostry powychodziły za mąż, młodszy brat sprawia same zgryzoty, matka robi się coraz nerwowsza, ojciec coraz bardziej sarkastyczny. Sprzeczki, obrazy, nieporozumienia. W dodatku przyjaciele rodziny szukają dla Honoriusza potajemnie zajęć, w nadziei, że jednak usłucha głosu rozsądku. Biedny chłopak pisze do siostry:

„Zdaje mi się, że pan G... szuka dla mnie po cichu posady: straszny człowiek! Zginąłem, jeśli mnie nakryją tym gasidłem; zostanę koniem w maneżu, koniem, który obchodzi swój krąg czterdzieści razy na godzinę, je, pije i śpi o porach oznaczonych z góry. I nazywają życiem to machinalne kręcenie się w kółko, ten wiekiusty kołowrót tych samych rzeczy!“

Później, kiedy Balzac zostanie wielkim pisarzem, wówczas, cały oddany swemu dziełu, sam sobie nałoży regularny aż do pedantyzmu tryb życia: będzie jadł, pił i spał o oznaczonej godzinie, robił co dnia jedno i to samo, siedział przy biurku i pisał. Tak oto przeciwległe krańce spotykają się czasem, przynajmniej pozornie...

„Gdybyż jeszcze — zwierza się dalej siostrze — ktoś rzucił jakiś urok na moje bezbarwne istnienie! Nie ma kwiatów w moim życiu, a przecież to jest pora, w której one kwitną! Na co majątek i roz-

kosze, kiedy młodość minie. Na co kostium aktora, kiedy się już nie ma ról? Starzec to człowiek, który jest po obiedzie i przygląda się, jak jedzą inni; a ja jestem młody, talerz mój jest próżny, i jestem głodny! Lauro, Lauro, moje dwa jedyne i olbrzymie pragnienia — być sławnym i być kochanym — czy nasycą się kiedy?...”

W tym przykrym położeniu młody Honoriusz robi się smutny, robi się nieswój, traci swój radosny humor. Czuje swoją fałszywą rolę; ciągle aluzje do tego, że trzeba by myśleć o sobie, że trzeba by się wziąć do czegoś, przywodzą go do rozpacz. Ale trzyma go w domu po prostu brak pieniędzy. O ile ma co jeść, o tyle nie ma się w co ubrać. Ileż później poświęci miejsca w swojej *Komedii ludzkiej* cierpieniom młodego człowieka, który widzi rówieśników eleganckich, dobrze ubranych, a sam musi się wstydzić nieświeżego i niemodnego stroju (*Ojciec Goriot*, *Stracone złudzenia* etc.). Ileż miejsca poświęci owym drobiazgom życia, których ważność tak nauczył się rozumieć! Pieniądze na „osobiste wydatki“ — to rzecz, dla której jego młodzi bohaterowie gotowi są niemal duszę zaprzedać. Wprowadzenie w literaturę tych pogardzanych wprzód i nie dostrzeganych przyziemności, udratyzowanie ich — to wielki wynalazek Balzaka. Czytajcie *Jaszczura* — przygodę młodego Rafaela, zmuszonego odwiedzić do domu milionową hrabinę Fedorę; męki, jakie przeżywa młody człowiek bez grosza w kieszeni, zaskoczony u wyjścia z teatru nagłą ulewą. Ukradłby bez wahania w takiej chwili! Ta powieść — poemat ogarniający największe zagadnienia życia i śmierci — ma za centralny punkt pięciofrankówkę... której nie ma.

Tu, w tym Villeparisis, ma młody Balzac czas robić do syta studia nad prowincją, którą później będzie prześladował aż nazbyt złośliwą karykaturą. Tak blisko Paryża, a cóż za oddalenie, cóż za przepaść! W Paryżu powietrze przesyczone myślą; ulica bogata możliwościami, niespodzianką, wdziękiem, kaprysem: nędza nawet ma tam swoją wielkość. Tu wszystko małe, płaskie, codzienne, jednakie, beznadziejne... Będzie się też mścił na prowincji za te swoje straszne lata.

W domu robi się coraz trudniej, odkąd zabrakło w nim Laury, siostry i przyjaciółki. Ojciec, blisko osiemdziesięcioletni, pobłażliwy, ale ironiczny, nie jest powiernikiem myśli dla tego nieuznanego

geniusza; a matka — matka jest wprost groźna w swojej starannie wychowanej francuskiej dulszczyźnie. Balzac ucieka z domu, ile może; robi wypadki do Paryża, stara się nawiązać jakieś stosunki literackie (ale jak to zrobić w starym i pociesnym garniturze?), szuka jakichś robót. Wreszcie cudem zdobywa się na to, aby wynająć pokój w Paryżu, i zamyka się w nim z heroicznym postanowieniem zarabiania piórem na życie. Ale, może dlatego że własne jego dążenia twórcze były zgoła nie skryształizowane, wpada na dosyć dziwny pomysł. Postanawia na razie zrezygnować z marzeń, pisać rzeczy, co do których wartości sam nie ma złudzeń, i tak, dostarczając księgarzom żadanego na rynku towaru, zdobyć piórem niezależność, aby później zacząć tworzyć *n a p r a w d ę*. Ale przede wszystkim być wolnym, zdobyć wolność! Znajduje współpracownika i, co ważniejsze, wydawcę i sprzedaje swój pierwszy romans pod strasliwym tytułem: *Dziedziczka z Birague, historia zaczerpnięta z rękopisów don Rago, ex-przeora benedyktynów, ogłoszona przez jego dwóch bratanków, A. de Vilergle i lorda R'Hoone*. (Lord R'Hoone — to Balzac). Za ten pierwszy romans otrzymuje od księgarza 800 franków — olśniewająca suma — która jednak maleje, kiedy przychodzi się nią podzielić ze współnikiem, no i potracić lichwiarską stopę dyskontu, ponieważ honorarium wypłacono wekslami. Słowem, zaczynają się dla Balzaka wszystkie owe doświadczenia, które później miał tak żywo opisać w *Straconych złudzeniach*, przeżywając je na nowo za młodego Lucjana de Rubempré, autora romansu „Gwardzista Karola IX“.

Niemniej pierwszy zarobek piórem przejmuje go upojeniem i utwierdza w powziętym zamiarze. W ten sposób powstał szereg powieści pisanych pod pseudonimami, powieści, których Balzac nigdy nie uznał za swoje „prawe dzieci“ i których nie włączono nigdy nawet do pełnych wydań jego dzieł. Figurują wstydliwie jako *utwory m ł o d o ś c i*, i można powiedzieć, że poza specjalistami nikt ich nie zna. Historia młodzieńczych utworów Balzaka to jest unikat w dziejach literatury.

Te pierwsze utwory Balzaka mają tę zaletę, że pozwalają nam zmierzyć dystans między powieścią, jaką Balzac zastał, a jaką zostawił.

Bo te pierwsze jego płody nie były ostatecznie gorsze, a może

lepsze od przeciętnej ówczesnej produkcji powieściowej, której noszą piętno. Były fantastyczne i historyczne, w duchu mody stworzonej przez panią Radcliffe i Waltera Scotta, których olbrzymie powodzenie regulowało żądania księgarzy. Przyświecała też młodemu Balzakowi gwiazda Richardsona i... Paul de Kocka. Miejscami zakrawają te powieści na parodię, jakby ich autor bawił się nimi. Bądź co bądź dowodzi jakiejś niezłomnej wiary w swój geniusz i wysokiego poczucia odpowiedzialności artystycznej ten stosunek Balzaka do własnych utworów, które określa w liście do siostry zwięźle jako „świństwo literackie“ i których nie podpisuje, a by mu nie szkodziły na przyszłość! Niejeden dwudziestokilkuletni chłopak jakże byłby dumny na jego miejscu ze swego sukcesu!

Wspomniałem Waltera Scotta, który miał wywrzeć tak znaczny wpływ i na prawdziwego Balzaka, a to przez swoje odkrycie — jakże pogłębione przez autora *Komedii ludzkiej*! — że człowieka trzeba opisywać w związku z tłem i środowiskiem. Już wówczas Balzac dawno się oderwał od martwego pseudoklasycyzmu i zaczął z bogatych lektur czerpać soki dla swego przyszłego dzieła. Więcej korzysta z obcych literatur niż z własnej, którą miał zrewolucjonizować. Obok Waltera Scotta namiętnością jego jest Fenimore Cooper, autor „Jeziora Ontario“, dalej uwielbiany Sterne, którego tylekroć będzie cytował, i Jean-Paul, i Hoffmann ze swymi fantastycznymi opowieściami, i chmurny buntownik Byron, Goethe i Schiller wreszcie — jesteśmy wszak w okresie romantycznego braterstwa duchów.

Ale nie tylko literatura piękna stanowi treść ówczesnych zainteresowań młodego Balzaka. Wielka dyskusja przyrodnicza między Cuvierem a Geoffroy-Saint-Hilaire, teorie Lavatera i Galla, mesmerizm, fizjologia, chemia — wszystkim tym nasiąkał nie wiedząc jeszcze, jak płodnie spożytkuje kiedyś te wiadomości.

Niebawem miał się Balzac rozczarować do swojej w ten sposób uprawianej literatury; ale w tej chwili młody autor ufnie patrzy na świat. Widzi się wolnym, w niedalekiej przyszłości bogatym; już oblicza w listach do siostry, ile mu może przynieść to „romansopisarstwo stosowane“. Już wtedy rozpoczynają się u Balzaka owe bardzo jakoby ściśle, a w gruncie bardzo fantastyczne kalkulacje finansowe, które miały wypełniać i — mącić — do końca jego życie.

Pisze tedy i pisze, wymyśla coraz to efektowniejsze tytuły. Po *Dziedzicze z Birague* idzie *Odnaleziona córka*, *Pirata Argow*, *Blada Jane*, *Klotylda de Lusignan*, czyli piękny Żyd, romans, za który dostaje — o upojenie! — dwa tysiące franków. Ale to wszystko idzie mu jakoś za wolno; w ten sposób nierychło dojdzie do upragnionej fortuny i swobody. Dla pośpiechu próbuje zaprzęgnąć do współpracy siostrę: on ma napisać jeden tom, ona drugi, potem uzgodnią całość...

Brzmi to wszystko cokolwiek humorystycznie. Ale to jest właściwością życia Balzaka, że jest ono w równej mierze patetyczne i wspańnię jak obfitujące w komiczne epizody. Zdarza się to u genialnych ludzi dość często, a przyczyną tego nadmiar wyobraźni, która jest jak owe olbrzymie skrzydła albatrosa w wierszu Baudelaire'a: stworzone do lotu, przeszkadzają chodzić po ziemi.

Po okresie wytężonej pracy oblegają młodego pisarza melancholijne refleksje. Czuje całą niedorzeczność tego marnotrawstwa talentu. „Zaczynam mierzyć i poznawać swoje siły — pisze do siostry. — Czuć, co jestem wart, i obracać kwiat swoich myśli na podobne brednie! Rozpacz! Och, gdybym miał co jeść, znalazłbym sobie rychło miejsce i stworzyłbym rzeczy, które by może zostały...”

Ogarnia go zniechęcenie. Jeszcze spłodzi jakąś *Ostatnią wróżkę*, czyli *nową cudowną lampę*, ale czuć, że już ustaje w swoim dzikim zamiarze. Przy tym coraz mu trudniej lokować te powieści, pisane z niechęcią. Ostatni z utworów młodości przypada na rok 1825. Dwudziestosześcioletni autor uznał, że ta droga nie prowadzi do niczego; rzuca się tedy w inną, jeszcze bardziej określną.

Zastanawiając się nad tym okresem życia Balzaka, strzeżmy się ulegać jego sugestii i uważać te lata za stracone. Ostatecznie chłopiec dwudziestosześcioletni — to jeszcze niemal dziecko! Można w tym wieku być wielkim poetą, można tworzyć cudzy fantazji, ale geniusz Balzaka miał inne przeznaczenie. Jemu było potrzeba wykarmić się sokami wiedzy o życiu, potrzeba mu było zebrać wiele doświadczeń, które, gromadzone niby paliwo, miały nagle buchnąć potężnym płomieniem. Cały ów okres jest ciągłą wewnętrzną pracą, jest podświadomym przygotowaniem dzieła.

W najcięższym momencie życia w Villeparisis — jeszcze przed swoim autorstwem — poznał Balzac kobietę, która miała wywrzeć duży wpływ na jego życie. To pani de Berny, która w owym małym miasteczku była sąsiadką państwa Balzac. Poznanie pani de Berny — które miało później znaleźć wyraz w najbardziej wzruszonych kartach *Lilii w dolinie* — wstrząsnęło młodym człowiekiem. Pierwszy raz zbliżył się do takiej kobiety, marzył jedynie o niej: inteligentna, subtelna, wykwintna, macierzyńska, dobra... Rozmowa z taką istotą otwierała Balzakowi nowe światy. Poza urokiem osobistym ta poważna jeszcze kobieta trzydziestoletnia (która, jak wszystkie kobiety trzydziestoletnie Balzaka, miała lat znacznie więcej) była dlań żywą historią. Była córką Niemca Hinnera, nadwornego muzyka króla Ludwika XVI, a matka jej była panną służącą Marii Antoniny. Oboje królestwo, obok największych magnatów dworu, byli jej chrzestnymi rodzicami; chowała się wśród zabaw w Trianon. Później ojczym jej, kawaler de Jarjays, próbował ocalić

królowę od szafotu. Cóż za idealna przewodniczka po owym świecie tak bliskim, a tak dalekim, który rewolucja zmioła, a z którym chwila obecna wiązała się tyloma niemi! Mnóstwo anegdot, mnóstwo wspomnień z życia dworu i społeczeństwa przed rewolucją, mnóstwo owych wymownych drobiazgów, owych realnych szczegółów, których był tak chciwy — wszystkiego tego dowiadywał się przyszły malarz społeczeństwa z najmilszych ust. A lekcje życia, lekcje kobiecego serca! Jeżeli Balzac jednym z pierwszych swych utworów — *Fizjologią małżeństwa* — miał się stać „doktorem nauk małżeńskich“ i prowadząc kobiecego serca, w pewnej mierze będzie to zawdzięczał niewątpliwie owym poufnyom rozmowom z panią de Berny, skarbm myśli i doświadczeń kobiety, która widziała i przeszła tak wiele. Pani de Berny odczuła w tym genialnym i dobrym chłopcu człowieka, z którym mogła być szczerą. Miała być dla niego kochanką, przyjaciółką, niemal przybraną matką. Polegał na jej sądzie; delikatnie, ale jasnowidząco wytykała mu błędy, uczyła go odcieni form i myśli. Francuzka wychowaniem, a Niemka krwią, wtajemniczyła kipiącego temperamentem, a nieokrzesanego chłopca, który pojęcia o kobiecie czerpał z... Rabelais'go, w subtelności miłosne „Cierpień młodego Wertera“, we wszystkie sekrety kobiecej uczuciowości. W ciężkich godzinach pocieszała go, koila jego obolałą miłość własną. „Spraw, kochanie, aby cię zewsząd widziano dzięki wysokości, na którą się wzniesiesz — pisała później, w epoce jego rosnącej sławy — ale nie krzycz, aby się kazać podziwiać.“

Sama zresztą pani de Berny uległa czarowi owej przyjaźni, owej miłości. Ten młodzieniec tryskający inteligencją, energią, wesołością, dziecięco ufny i szczery, to genialne czoło, te wspaniałe oczy jakże nie miały oczarować kobiety, która, wydana za mąż za nie kochanego człowieka w szesnastym roku, przeszła obok życia i która już weszła w okres rezygnacji.

Bliskość pani de Berny pozwoliła znieść Balzakowi wygnanie w Villeparisis, a wpływ jej stał się pobudką do wyzwolenia. Dała mu wiarę w siebie, podsycała energię, pod jej okiem płodził swoje pierwsze wątpliwe romanse. Później pani de Berny umocniła Balzaka w postanowieniu, które miało być dla niego brzemienne w następstwa. Pomyślne czy opłakane, trudno powiedzieć; bo u artysty, u pisarza,

nigdy się nie wie, w jakim stopniu katastrofy życiowe mogą być potrzebne i płodne. Słuchając zwierzeń młodego człowieka pani de Berny cierpiała wraz z nim nad jego upokarzającą sytuacją, nad marnowaniem się jego talentu w romansach pisanych dla nędznego zarobku; razem myśleli nad znalezieniem wyjścia. Przypadek nastręczył sposobność i skierował Balzaka na drogę, która mu się zdawała szybszą i pewniejszą do zdobycia upragnionego majątku.

Tutaj będzie potrzebne pewne objaśnienie. Dziś może się wydawać szczególnie ten młody człowiek, który tak marzy o zdobyciu majątku, który tyle roli przyznaje w życiu pieniądзом. Wówczas było to bardziej zrozumiałe. Epoka młodości Balzaka była pograniczem dwóch światów: dawny, feudalny, pozornie runął, nowy, demokratyczny, jeszcze się nie narodził. Technika życia zwłaszcza została bardzo niedemokratyczna. Niech wystarczy jeden rys: nie było bruków, nie było prawie chodników, ulice były wąskie i brudne; ludzie dzielili się na tych, którzy jechali powozem obryzgując błotem innych, i na tych, którzy brnęli w rynsztoku obryzgiwani przez tamtych. (Przypomnijmy sobie męczarnie młodego Rastignaka w *Ojcu Goriot*). Przedmieścia, nie oświetlone, tonęły w ciemnościach. Wobec odległości paryskich, wobec braku technicznych udogodnień człowiek bez służby był jakby kaleką. Strój odgrywał ogromną rolę; nawet dla mężczyzn zawierał sekrety mnóstwa kosztownych i upokarzających odcieni. Hierarchie towarzyskie tworzyły istne przepaście między ludźmi. Życie skupiało się w salonach, gdzie rozstrzygało się wszystko; najlichsze stanowisko zależne było od protekcji dam, „stosunki“ były kapitałem. Pozorne zniesienie przywilejów, a w istocie zniwelowanie ich tylko przemożnym przywilejem pieniądza, było w dobie owej arystokratycznej Restauracji szczególnie drażniące. Ta hipnoza pieniądza, która trapi od młodu bohaterów Balzaka, jest bardzo charakterystyczna.

Dodajmy do tego instynkt twórczy Balzaka. Ten człowiek, który miał być malarzem społeczeństwa — całego społeczeństwa — musiał je poznać osobiście, od dołu do szczytów, a jakże tu bez grosza wspiąć się na te szczyty?

I oto paradoks: ten ambitny młodzieniec, który odrzucił spokojny zawód rejenta, wiodący bez ryzyka do zamożności, puszcza się, bez

pieniędzy, bez fachowego przygotowania, na niebezpieczną karierę przemysłowca. Zamiast pisać książki miał je — na razie — wydawać i drukować. Oto jak.

Pewna księgarnia zamówiła u Balzaka przedmowę do dzieł La Fontaine'a. Balzac rozpałił się do nowej wówczas myśli: cała biblioteka tanich klasyków, dla której księgarz poszukiwał wspólnika nie rozporządzając dostatecznym kapitałem. Młody Balzac zaczął obliczać — jak zwykle fantastycznie — co można by na tym zarobić; już widzi dla siebie niezależność, majątek. Pani Berny ofiarowała się włożyć potrzebną sumę. Wspólników było zrazu czterech, dwaj ustąpili, zostało dwóch — księgarz Canel i Balzac.

Balzac wziął się do rzeczy bardzo serio. Widział wszystko na wielką skalę. Wydanie musiało być ilustrowane: stara się o drzeworyty, zamawia ilustracje. Ale przedsięwzięcie nie zyskało na razie powodzenia. Wspólnik oświadczył, że się wycofuje; Balzac spłacił go tedy weksłami. Miał zaczęte wydanie La Fontaine'a i Moliera: nie mogąc podołać obu, sprzedał La Fontaine'a księgarzowi, który spłacił go wierzytelnościami nie dającymi się zrealizować. Jedna z nich wynosiła — 28 000 franków! Zamiast niej dostał Balzac od księgarza cały magazyn bezwartościowych książek, z którymi nie miał co począć.

Cała ta przygoda miała dać Balzakowi bezcenny kapitał w formie — doświadczenia życiowego. Czy opisuje bankructwo Cezara Birotteau, jego szamotania się i walki, czy zmagania się z przemożnym konkurentem drukarza Dawida Séchard (*Stracone złudzenia*), czy wtajemnicza czytelnika w sekrety lichwy paryskiej (*Gobseck*) — wszędzie opisuje własne przeżycia, genialnie przetworzone. Tym się tłumaczy, że pulsują one prawdą, że mają ten dramatyczny rytm, który sprawia, że historię prostego bankructwa handlowego czyta się z zapartym oddechem.

Bo to był dopiero początek nieszczęść. Ratując się z grożącej katastrofy Balzac pogrążył się jeszcze głębiej. I siebie, i rodzinę.

Tutaj trzeba zwrócić uwagę na charakterystyczny rys tej mieszczańskiej rodziny francuskiej. Ta sama rodzina, która chłopcu zdradzającemu tak wyraźne powołanie odmawiała najskromniejszej pomocy, będzie mu pomagała w szaleństwach, skoro te szaleństwa będą...

praktyczne, skoro będą na miarę ich mieszczańskich pojęć. Państwo Balzac, uszczęśliwieni, że nareszcie syn wszedł na drogę rozsądku, utopią w jego fantastycznych przedsiębiorstwach cały prawie majątek, ojciec niemal przypłaci to życiem, matka straci zaopatrzenie starości, a Balzac będzie musiał przez całe lata piórem pracować na pokrycie strat, do jakich doprowadziła go nieszczęsna chwila praktyczności.

Zawiódłszy się tedy na klasykach, a otarłszy się o drukarstwo, Balzac postanawia w nim szukać ratunku. Znajduje młodego zecera, z którym zawiązuje spółkę. Ojciec Balzaka poręcza za syna do wysokości 30 000 franków; pani de Berny i jeden z przyjaciół rodziny udzielają pożyczki. Balzac kupuje drukarnię za trzydzieści tysięcy i za piętnaście tysięcy materiał. Dwanaście tysięcy wypłaca na wstępnie owemu zecerowi tytułem odszkodowania za to, że porzucił dotychczasowe stanowisko. W takie interesy wchodzi młody człowiek, którego pierwotnym marzeniem było żyć w Paryżu za 120 franków miesięcznie i cierpliwie dobijać się sławy! Ale to już dawna epoka, epoka rajskiej niewinności: odkąd poznał miłość, Balzac pragnie dla niej wszystkich akcesoriów: wykwintu, bogactwa, swobody.

Na razie przez dwa lata jest drukarzem. Jego wydział to prowadzić kasę, rachunki, starać się o roboty, podczas gdy współnik miał kierować stroną techniczną.

Tam, w tej drukarni, prowadzi Balzac życie Dawida Séchard ze *Straconych złudzeń*. Tam, w swojej klatce, męczy się nad rachunkami i kosztorysami, podczas gdy myśl ucieka mu ciągle w sferę ducha. Wierne oddanie kochającej kobiety dodaje mu sił w tych niewdzięcznych trudach, i więcej jeszcze w katastrofie, która miała niebawem nastąpić. Pryśły złudzenia, ukazała się naga rzeczywistość. Co innego drukarnię (później) opisać, co innego drukarnię prowadzić. Klienci stronili od zakładu, w którym panował nieład, a którego właściciel, niecierpliwy i zadumany, najwyraźniej myślał o czym innym. Robót nie było. Ot, trochę wydawnictw z młodej literatury. Ale cóż za rola dla Balzaka, który już zakosztował upojeń autorstwa, być drukarzem drukującym młode sławy, wyłaniające się na horyzoncie romantycznej literatury!

Interesy szły coraz gorzej. Weksel gonił za wekslem, komornik był

coraz częstszym gościem; adwokaci, lichwiarze, cały ów świat, który tyle miał zająć miejsca w *Komedii ludzkiej*.

Przemysłowiec nasz brnie coraz głębiej. Typowa psychologia bankruta, którą później miał opisać tak przenikliwie w *Cezarze Birotteau*. Byle odwlec straszną chwilę! Aby naprawić jedną klęskę, pakuje się w drugą. Znowu nowy pomysł, w który wierzy jak zawsze. Tym razem ma w ręku majątek! Jest do nabycia odlewnia czcionek; Balzac kupuje ją do spółki za 36 000 franków. Znowu pani de Berny jest jego współniczką i wnosi potrzebny kapitał. Balzac ma nadzieję rozwinąć dział drzeworytów, miedziorytów, stalorytów; nabywa nowe wynalazki. Wydaje bogate prospekty winiet, ornamentów drukarskich. Ale czegoś widocznie mu brakuje: on, który tak przepysznie umiał odmalować „króla komiwojażerów“, *Znakomitego Gaudissart*, sam nie umiał nim być. Po kilku miesiącach odlewnia stoi w obliczu bankructwa.

Bankructwo — we Francji zwłaszcza! — to była wówczas rzecz straszliwie poważna. Bankructwo było śmiercią cywilną przemysłowca, było niestartą plamą na honorze, bo uczciwość kupiecka była tarczą rycerską tego mieszczańskiego świata, z którego się Balzac wywodził. Niech czyta *Cezara Birotteau*, kto chce poznać, co się działo w jego duszy. Zawierzili mu ludzie, których miał zawieść; utopił majątek rodziny i mienie kobiety, którą kochał, a której miał zostać niewypłacalnym dłużnikiem. Położenie straszne, położenie takie, w jakim ludzie mniej odporni kończą samobójstwem.

I tutaj ta mieszczańska rodzina okazała się niemal bohatera. Nie miała zrozumienia dla nadziei artysty, zrozumiała w całej pełni honor przemysłowca. Matka oddała cały osobisty majątek na pokrycie wierzycieli. Ojciec widzi tylko jedno: aby honor syna wyszedł nietknięty. Któryś z przyjaciół rodziny przystępuje do trudnej sprawy likwidacji.

Skoro się mówi o Balzaku, byłoby grzechem przeciw duchowi autora *Komedii ludzkiej* nie wymienić ścisłych cyfr. Znamy je z jego własnych listów, z jego kalkulacji. Zatem pasywa wyniosły 113 000 franków; aktywa, mimo ofiar rodziny i pani de Berny, tylko 67 000. Przedsiębiorstwa zlikwidowano; odlewnię czcionek przejął młody de Berny, który uczynił ją kwitnącym zakładem, istniejącym do dziś.

Balzac miał wówczas lat dwadzieścia dziewięć. Wyszedł z tych „interesów“ z długami, bez najmniejszego widoku ich spłacenia. Zrui-

nował rodzinę, zrujnował najoddańszą przyjaciółkę — wszystkich. Ale nad tym poczuciem góruje u niego jedno: już teraz wie na pewno, co ma robić i gdzie jest jego powołanie. Wówczas gdy Balzac-wydawca, drukarz i odlewacz czcionek, szamotał się z kłopotami rzemiosła i katastrofą pieniężną, w tajemniczych mrokach podświadomości dojrzywał Balzac-twórca. Katastrofa podzielała niejako tonicznie na tę krzepką i silną naturę. Podczas gdy przyjaciel rodziny prowadził likwidację interesów, on, nareszcie wolny od trosk, w których żył kilka lat, rzucił się do pióra. Odtąd życie jego stopi się całkowicie z jego dziełem.

Niemniej ta p r a k t y c z n a przeszłość miała zaciążyć na jego życiu. Ten znaczny na owe czasy i na człowieka żyjącego z pióra dług miał go dławić do końca. Mimo że później zarabiał ogromne sumy, Balzac nie umiał się nigdy oczyścić; zwłaszcza że o ile wypłacał się z jednej strony, o tyle pograżał się z drugiej przez swoje kosztowne zachcenia, przez swoją żarłoczną wyobraźnię. Zawsze eskontował wszystkie nadzieje na stopę lichwiarską, zawsze jadał ową „zupkę ze zboża na pniu“, której smak ironicznie zachwala Rabelais. Ale zawsze, przez całe życie, najkosztowniej wypadała mu jego praktyczność i jego oszczędności: przedsiębiorstwa, które kombinował, aby się oczyścić od jednego zamachu; te kończyły się zawsze ruiną i pograżały go tym głębiej. Człowiek, który na papierze obracał milionami, nieomylnie bystrym wzrokiem sądząc ludzi i sprawy, w życiu był naiwny jak dziecko.

Ten opłakany nieporządek życiowy, ten wciąż przytomny jego oczom kalendarzyk wykazujący na każdy niemal dzień jakieś zobowiązanie do spłacenia, nie pozostał bez wpływu na jego twórczość. Nie zawsze poczęty utwór mógł w nim dojrzeć swobodnie; często Balzac zmuszał się do produkcji nad możność, często kończył pośpiesznie i lada jak wspaniałe dzieło, byle je dostarczyć na termin. Popędzał się nadużyciem czarnej kawy, która stała się jego trucizną; po kilkanaście godzin nie wstawał od biurka; nie dawał sobie urlopu ani wytchnienia. Despotyzm pieniądza uczynił go niewolnikiem pracy; o ile dał mu wytrwałość, której by mu może nie stało, o tyle, z drugiej strony, spowodował niejedną skazę na jego dziele. Ale z tego wszystkiego razem wyszła — *Komedia ludzka*. Nie skarżmy się.

Zostawiając swoją drukarnię, swoje długi i ich likwidację, Balzac ucieka do Bretanii, gdzie znajduje gościnę u generała de Pommereul, którego ojciec zaprzyjaźniony był z jego ojcem. Nie o sam spokój do pracy mu chodziło. Bretania była terenem, gdzie rozgrywały się sprawy, które miał wskrzesić piórem. Bo Balzac powziął zamiar napisania powieści *Ostatni Szuan*, czyli *Bretania w roku 1800*, na tle rojalistycznej partyzantki przeciw zwycięskiej rewolucji. Balzac, którego dziedziną miała być współczesność, tu rzuca się w przeszłość, ale przeszłość żywą jeszcze i bliską. Jako rodzaj literacki była to powieść z ducha Waltera Scotta, którego Balzac tak podziwiał: pokazać grę namiętności i prawdę historii, ale uczynić to na tle autentycznym.

Przybywa do państwa Pommereul prawie tak, jak stał, w jednym przykusym ubraniu, bez bielizny, w jakimś straszliwym kapeluszu, którego wspomnienie baronowa na długo miała zachować. Ale zachowała i wspomnienie jego oczu: „Skoro zdjął kapelusz — pisze dobra staruszka opisując tę wizytę — wszystko inne znikło: widziałam już tylko tę głowę. Kto go nie widział, nie może sobie wyobrazić tego czoła i tych oczu: wielkie czoło, na którym grał niby refleks światła, i ciemne oczy pełne złota, które mówiły wszystko równie wyraźnie jak słowa... Był bardzo zgłodniały, pozerął, co mu dano; był zarazem tak prosty, szczery, miły, że nie podobna go było nie polubić...”

Balzac pilnie bada teren, rozgađuje starych ludzi z okolicy, obserwuje chłopów, nasiąka miejscową gwarą, duchowym klimatem. Pracuje cały dzień, schodzi tylko wieczór do stołu. I aby — jak

mówił — wypłacić się za gościnę, opowiada historie. Często zaczyna tak: „Generale, musiał pan znać w Lille rodzinę X; otóż zdarzył się w tej rodzinie straszliwy dramat“. I opowiada z takim ogniem, z taką prawdą, że każdy by się wziął na to. W końcu słuchacze, dygocząc z przejęcia, pytają: „Czy to prawda, to wszystko?“ — „Ani słowa prawdy — odpowiadał — to najczystszy Balzac.“ I dodawał: „Wszystko to żyje, kocha, cierpi, szamocze się w mojej głowie; ale jeśli Bóg dozwoli mi życia, wszystko będzie uporządkowane, posegregowane, pomieszczone w książkach, i to kapitalnych książkach...”

Ale i tu, w ciągu tej pracy, miały prześladować Balzaka — dobre rady. Rodzina odrywa go od pisania przypominając mu, że czas wracać i pomyśleć o czymś „praktycznym“. Niepoprawni! Opuszcza z niechęcią dom, gdzie mu się tworzyło tak dobrze, i wraca do Paryża, aby — kończyć swoje dzieło.

Książka *Szuanie* (tak brzmi ostateczny jej tytuł) ukazała się w r. 1829. Zyskała wielkie powodzenie. Historia ujęta tak żywo i przeobrażona w powieść była w piśmiennictwie francuskim czymś nie znanym, stwarzała nowy rodzaj. Wojna domowa w całym realizmie okrucieństw i romantyzmie poświęceń; krótkie spięcia miłości wśród błyskawic dziejowych i wreszcie ten ulubiony motyw romantyzmu: „nierządnicą odkupiona przez miłość“.

Była to pierwsza książka, którą Balzac uznał za godną, aby jej dać swoje nazwisko: niebawem nazwisko to znalazło się na wszystkich ustach. Przydaje mu rozgłosu *Fizjologia małżeństwa*, która ukazała się w grudniu tegoż roku. Dość nierówna na ogół, ale zuchwała i nowa, iskrząca się, mimo rozwlekłości, werwą i mądrym dowcipem, zwiastuje inne znowuż strony przyszłego autora *Komedii ludzkiej*, przez swą bystrą obserwację, zdolność dramatyzowania zdarzeń, przez swoje „materialistyczne pojmowanie zjawisk“. W dwóch słowach tytułu jest cały Balzac: zarazem każde z nich jest małą rewolucją. *Fizjologia* — ten naukowy termin w stosunku do rzeczy, której pojęcie zdawało się leżeć tak bardzo poza obrębem nauki; to konkretne, brutalne niemal słowo w stosunku do spraw, które dotąd w literaturze były rozważane jedynie z punktu „harmonii dusz“... A drugie słowo: *małżeństwa*... — też nieoczekiwany termin. Kto w literaturze przed Balzakiem zajmował się serio małżeństwem? Miłością — owszem;

ale małżeństwem?... Gdy się kochankowie pobrali, był zwykle koniec powieści. A przecież wtedy zaczyna się najczęściej dopiero powieść życia, zwłaszcza dla kobiety. Balzac pierwszy zrozumiał i oddał władzę dnia powszedniego.

Odtąd Balzac wchodzi w życie literackie. Korzysta z chwili, pisze i drukuje mnóstwo. Ale jeszcze się rozprasza, rozrzuca się w mnóstwie artykułów, szkiców, drukowanych po różnych pismach. W roku 1830, oprócz paru niewielkich opowiadań, które wtopi później w *Komedie ludzką* (*Podwójna rodzina*, *Gobseck* i i.), bibliografia balzakowska notuje przeszło sto pozycji, a mało co mniejsza cyfra przypada na rok 1831. Rozwija niesłychaną ruchliwość: w dzień poluje na wydawców, szturmując do dzienników, w nocy pisze. Znajduje sobie mieszkanie, które z resztek urządzenia drukarni mebluje z pewnym komfortem, ku zgorszeniu rodziny krzywo patrzącej na to, że on myśli o komforcie — jakże skromnym wówczas — zanim spłaci długi. „Wyrzucają mi urządzenie mego pokoju — pisze do siostry — alez meble, które tam są, miałem przed katastrofą, nie kupiłem nic. To niebieskie perkalikowe obicie, o które jest tyle krzyku, było w moim gabinecie w drukarni.“

Tak, to był przepych bardzo skromny... Niemniej już wówczas objawia się w Balzaku owa namiętność do zbytku, która później tak miała krzyżować jego finansowe rachuby. Kochał się w pięknych meblach, bibelotach, gracikach, w starych obrazach. Galeria opisana w *Kuzynie Ponsie* to jego własna. Pokój z *Dziewczyny o złotych oczach* — ów półkolisty salon czerwony ze złotem — to był jego własny salon, ale obok tego salonu znajdowała się izdebka z żelaznym łóżkiem i prostym stołem — cela do pracy.

Ale to miało przyjść dopiero później. Na razie największą urodą jego mieszkania był widok na kopułę gmachu Inwalidów. To zapładniało wyobraźnię Balzaka, który przez całe życie ze swoim wmówionym trochę „legitymizmem“ łączył żywy kult Cesarza. Na biurku ustawił sobie rodzaj ołtarzyka z popiersiem Napoleona, pod którym był ten napis: „Co on rozpoczął szablą, ja dokończę piórem“. I w istocie można powiedzieć, że Balzac zdemokratyzował literaturę, zorganizował piórem nowe społeczeństwo, zaniósł myśl francuską do Europy. I dzieło jego miało być trwalsze...

I tu również — w świecie napoleońskim — przewodniczką Balzaka była kobieta. W dobie pierwszych prób literackich zbliżył się z księżną d'Abrantès, wdową po marszałku Junot, jednym z bohaterów napoleońskich, która, po fantastycznych kolejach życia, roztrwoniwszy wiele milionów, nękana — jak Balzac — przez komorników i wierzycieli, szukała ratunku w literaturze. Balzac ułatwiał jej stosunki z wydawcami, pomagał jej lokować powieści, wreszcie zawarł w jej imieniu transakcję o słynne „Pamiętniki księżnej“, za które uzyskał dla niej sumę 70 000 franków. Ale napoleońska księżna była istnym dziurawym workiem; w parę lat potem umarła w pokoju bez mebli, w ostatecznej nędzy, zostając winna aptekarzowi dwieście franków za opium.

Na razie wtajemniczała go w kulisy Cesarstwa, które znała na wyłot. Kobieta, która znała Napoleona młodzieńcem! Kobieta, która odrzuciła zaloty Cesarza, o którą Napoleon był zazdrosny, o której łaski rywalizował nieszczęśliwie z Metternichem, coś za żywa karta historii! „Jest dla mnie niby błogosławiony, który by usiadł koło mnie spędziwszy żywot w niebie w pobliżu Boga“ — pisał o niej Balzac.

Ale obok karty historii była i prawdziwa kobieta. Znow kobieta „trzydziestoletnia“, którą sportretował po trosze jako panią d'Aiglemont w powieści pod tym tytułem. A syn jej, Napoleon d'Abrantès, pozował znowuż Balzakowi do owych świetnych rozbitków Cesarstwa, którzy szalonym i hulaszczym życiem zakładali swój protest przeciw skarłałej epoce.

Kiedy się przegląda bibliografię Balzaka z owej doby, ma się wrażenie, że on — przy pozornym rozproszeniu — bezwiednie gromadzi cegły do gmachu, który zacznie niebawem budować. Wszystko go interesuje: strój, moda, polityka, obyczaje, medycyna, salony. Takie tytuły, jak *Fizjologia cygara* albo *Studium obyczajów za pomocą rękawiczek* — przypominają pasję teoryj, jaką odziedziczył po ojcu, ale zarazem świadczą o owym zainteresowaniu techniką życia, jego drobiazgami nawet, które Balzac potrafi zespolić z rzeczami największymi. Zarazem pisze bystre artykuły polityczne, jest współredaktorem pisma „Caricature“, współpracownikiem pisma „La Mode“, zakłada wraz z paru publicystami „Felieton Dzienników Politycz-

nych". Wszystko razem to są tysiące stronic, których zazwyczaj nie liczy się do jego dzieła.

W roku 1831 pojawiły się pierwsze fragmenty *Kobiety trzydziestoletniej*. Tytuł ten, mimo że się pod nim kryje jedna ze słabszych jego powieści, miał przyłgnąć do nazwiska Balzaka. I słusznie ponieważ, bo ten tytuł to też jego odkrycie; to niemal program. Przed Balzakiem, kobieta w ogóle nie ma wieku. „Kochanka” jest z obowiązku młoda i piękna, natomiast matka dorosłej córki ma lat sześćdziesiąt, a raczej jest w ogóle poza wiekiem. I kocha z reguły swoją córkę. Królowa Nawary, autorka „Heptameronu”, mawiała, że „po trzydziestce kobieta powinna zmienić przydomek *piękna* na *dobra*”. Klasyczną heroiną powieści była szesnastoletnia dziewczyna. Rozdźwięk między literaturą a życiem stał się nazbyt rażący.

Przyczyny tej ewolucji (poza rozwojem kosmetyki i higieny) są rozmaite. Przede wszystkim trzeba powiedzieć, że literatura żyje w znacznej mierze konwencją, konwencja ta zaś szła do Francji przeważnie z Włoch i Hiszpanii, owej kolebki literatury pięknej, gdzie, jak wiadomo, kobieta wcześniej dojrzewa i wcześniej przekwita, gdzie w miłości dominuje jej prosty zmysłowy wyraz. Balzac pierwszy ustalił, że w danym klimacie i danych obyczajach trzydzieści lat — a pojmował tę trzydziestkę bardzo elastycznie — jest wiekiem, w którym kobieta osiąga pełnię swego wdzięku i swojej indywidualności, że dopiero w tym wieku zaczyna być niebezpieczna...

Odgrywał tu też zapewne rolę inny czynnik, niezmiennie z pewnością szlachetny i ważny, mianowicie przesunięcie w znacznej mierze wartości miłosnych ze sfery fizycznej na duchową, na intelektualną. Czyż tym, czym była dla Balzaka pani de Berny, kochanką, przyjaciółką, powiernicą, pomocnicą jego prac, mogła być szesnastoletnia lub dwudziestoletnia dziewczyna? „Jedynie ostatnia miłość kobiety może nasycić pierwszą miłość mężczyzny” — powiada w którymś z utworów Balzac, zapewne przez wspomnienie swojej pierwszej miłości.

Nie znaczy to oczywiście, aby kobiety dorosłe z używaniem czy nadużywaniem swoich praw do życia czekały na Balzaka; ale on ulegalizował je niejako w literaturze, dał im tytuły poezji, zdjął z nich cień śmieszności. Porównajmy to z Russem, który panią de

Warens odważył się uczynić bohaterką jedynie swej pośmiertnej spowiedzi, a kobietę trzydziestoletnią, panią d' Houdetot, czuł się w obowiązku przetransponować na rezonerkę Julię z „Nowej Heloizy“. U Balzaka kobieta — i każda kobieta — znajdowała całą siebie, wszystkie swoje najtajniejsze wzruszenia, słabości, wszystkie nie zwierzone nikomu niedole, i to bez żadnych obstępów, bez żadnych literackich transpozycji, wydarte wprost z serca.

Przydomek „autora *Kobiety trzydziestoletniej*“ miał też na długo przysłonić istotną fizjonomię Balzaka, pełnię jego dzieła, którego bynajmniej nie zamierzał zdrobnić do spraw kobiety i miłości. Wystarczy zestawień tytułów: zaczął od wielkiego historycznego fresku, tuż potem miał dać *Louis Lambert*, surową historię genialnej myśli pomieszczonej w zbyt kruchym ludzkim naczyniu. A między tymi dwoma utworami powstał *Jaszczur* (1831), pełna polotu synteza problemów życia i śmierci.

Wśród tych prac i tryumfów zagarnia Balzaka życie światowe. O czym na próżno marzył biedny chłopiec na poddaszu przy ulicy Lesdiguières, tego ma teraz do syta. Otacza go sława, zaczynają się nim interesować salony. Ten nieduży krępy człowiek o wspaniałych oczach, mówiący niezmęczenie, improwizujący świetne diatryby na wszystkie tematy, staje się jedną z osobliwości Paryża. Wielki poeta Lamartine, który dotąd prawie że nie znał utworów Balzaka, spotyka go u pani de Girardin. Uderzony jest tym zjawiskiem: „Stał przed kominkiem. Nie był wysoki, mimo że promieniowanie jego twarzy i ruchliwość postaci nie pozwoliły zdać sobie sprawy z jego wzrostu: ta postać mieniła się tak jak jego myśl. Zdawało się, że jest jakby przestrzeń pomiędzy nim a podłogą; to schylał się aż do ziemi jak gdyby po to, aby podnieść snop myśli, to prężył się na końcach palców, aby biec za lotem swej wyobraźni w nieskończoność. Nie przerwał sobie dla mnie ani na chwilę; rzucił mi spojrzenie szybkie, uroczne, życzliwe. Zbliżyłem się, aby mu uściśnąć rękę; uczułem, że się rozumiemy bez słów. Był jakby puszczony w ruch, nie miał czasu się zatrzymać. Usiadłem, a on ciągnął swój monolog, jak gdyby moja obecność podnieciła go zamiast mu przerwać...”

Tworzy się już wtedy legenda balzakowska, którą zresztą sam Balzac podtrzymuje. Niepokoi, interesuje wszystkich; wszyscy spodzie-

wają się po nim czegoś wielkiego, choć nie odgadują, dokąd on zmierza.

W istocie są w nim wszystkie możliwości. Bo ten „spowiednik kobiecego serca“ żywi w owym czasie ambicje polityczne, rozbudzone rewolucją roku 1830, a także przykładem Chateaubrianda, ambasadora i ministra spraw zagranicznych. Zostać posłem, potem ministrem... Szczęściem dla literatury, nigdy ambicje te nie zostały spełnione. Zużył je w swoim dziele; obdzielił tą pasją polityczną kilku swoich bohaterów: głębokiego i prawego d'Artheza, szarlatana literacko-politycznego Natana, sceptyka Blondet, aferzystę Maksyma de Trailles i tylu innych.

Sława młodego pisarza — ma lat zaledwie trzydzieści dwa! — wybiega już poza granice Francji. Goethe, wielki Goethe, czytał *Jaszczyca* i racył się o nim wyrazić z zachwytem. Nakład *Louis Lambert*, którego zlekceważyła Francja, rozchwytno w Niemczech. Ale przede wszystkim kobiety wszystkich krajów Europy szepcą, że znalazł się nareszcie pisarz, który je zrozumiał, i marzą o nim, i ślą do niego listy...

Wśród tej gorączkowej pracy i rosnącej sławy, on, ten Balzac, przedmiot zainteresowania Europy, czuje się bardzo samotny i nie jest szczęśliwy. On znowuż marzy o jednym kobiecym sercu, które by — jego zrozumiało. Ma wprawdzie to serce — wypróbowane, szlachetne, subtelne, oddane, ma je w osobie pani de Berny. Ale pani de Berny ma w tej chwili lat przeszło pięćdziesiąt, jest chora, smutna, jest — przeszłością. Jest nieporównaną przyjaciółką, doradczynią, ale nie jest marzeniem o nieznanym. I to marzenie wielkiego wizjonera jak gdyby siłą tęsknoty materializuje się w osobie mającej wszystkie dane na to, aby urzec serce i ambicję człowieka, wyobraźnię pisarza.

W sierpniu roku 1831 dostaje nie podpisany list czytelniczki — „kobiety, która nie chce dać się poznać“. Do takich listów już przywykł, dostaje ich mnóstwo. Ale ten uderzył go i subtelnością myśli, i trafnością krytyk odnoszących się do *Fizjologii małżeństwa* i *Jaszczura*: Balzac decyduje się odpowiedzieć, broniąc przed nieznajomą swoich dzieł i rozwijając swoje poglądy. Po pierwszym liście następują dalsze, zawiązuje się korespondencja, aż wreszcie Balzac, zniecierpliwiony tajemnicą, żąda uchYLENIA maski pod grozą przerwania tej wymiany myśli. Nieznajoma zdradza swoje nazwisko: jest nią margrabina (później księżna) de Castries, osoba należąca (o, zachwycie!) do najwyższej arystokracji. W pełnym wdzięku bileciku zaprosiła pisarza, aby ją odwiedził w jej pałacu. Znow materia-
lizacja marzenia: to jakby hrabina Fedora z *Jaszczura* oblekła się w ciało. I jakie ciało!

Księżna miała wówczas trzydzieści kilka lat, była wytwornie

i oryginalnie piękna. „Kiedy zjawiała się na balu, w szkarłatnej sukni, jej olśniewająca cera i korona złotych włosów gasiły blask świeczników“ — pisze któryś ze świadków jej powodzeń. Ale nieszczęśliwy wypadek na polowaniu (nadwreżenie kręgosłupa) sprawił, iż obecnie większą część życia spędzała w na wpół leżącej pozie na kanapie. Cierpienie to dawało jej pięknej twarzy bolesny urok. Otaczała ją legenda tragicznie przerwanej miłości, szeptano o młodym księciu de Metternich, synu potężnego kanclerza Austrii... Słowem — gdyby nie to, że nie znano wówczas tego słowa — był to słodki „wamp“ w najniebezpieczniejszej postaci.

Na razie są oboje sobą zachwyceni. Dla Balzaka salon ten to było ukoronowanie jego młodzieńczych marzeń o blasku, o wykwincie, o kobiecości. Zarazem miłość ta — bo Balzac zakochał się od razu w pięknej margrabinie — szła po linii jego politycznych aspiracji: stać się obrońcą „prawej dynastii“ przeciw uzurpacji mieszczańskiego króla Ludwika Filipa, wejść w tym charakterze jako poseł do Izby! Kiedy się ktoś nazywa de Balzac, to obowiązuje!... Już w poprzednim roku Balzac próbował stawiać swą kandydaturę poselską bez najmniejszego powodzenia; ale teraz, gdyby miał poparcie wszystkich książąt i diuków, poparcie tej pięknej i wpływowej kobiety! Zdobyć ją! Przypomnijmy sobie *Komedie ludzką*: Rastignaków, Lucjanów, Maksymów, Natanów; cechą owych „balzakowskich“ miłości jest, że kobieta jest tam prawie zawsze dźwignią, szczeblem dla mężczyzny, narzędziem kariery, fortuny, panowania. Nawet matki marzą tam dla synów o bogatej i możnej kochance.

Dla pani de Castries znowuż, skazanej na pędzenie życia w swoim buduarze na kanapce, czy można sobie wyobrazić bardziej zajmujące towarzystwo niż ten kipiący geniuszem oryginał, mówiący tak wspańiale, a taki zabawny przy tym w swoich światowych naiwnościach? Cóż za zdobycz! Kobiety lubią obłaskawiać genialnych niedźwiedzi. A zaprzac do celów swojej politycznej koterii ten talent pełen przyszłości, tę niespożytą energię, tego człowieka tak dziecinnie oddanego, to też coś warte. Co zaś do jego miłości, tę spodziewała się piękna pani utrzymać w granicach, w jakich sama zechce. Oboje mieli się zawieść w swoich kalkulacjach.

Niebawem Balzac przekonał się, że nie wchodzi się bezkarnie

w tak wysokie regiony. Trzeba mu było upodobnić się do sfery, w której się znalazł. Szczęściem miał Balzac przyjaciela krawca, entuzjastę jego talentu, który oddał swój warsztat na jego usługi, na rachunek przyszłych dostatków. Młody grubas przedzierzga się w eleganta, nosi olśniewające kamizelki (ideałem jego było mieć ich 365, po jednej na każdy dzień roku, ale na razie musiał poprzestać na paru tuzinach), błękitny frak ze szczerolętymi rzeźbionymi guzami, ma powozik, galopuje konno przy ekwipażu swej damy, ma w Operze stałe miejsce w łoży najzłotszej młodzieży, zwanej „łożą lwów“, z czego znów wynikają kolacyjki z tymi lwami w najdroższych i najbardziej eleganckich „jaskiniach“. Oddaje margrabinie mnóstwo czasu, na który jest tak skąpy! Śni na jawie wszystkie marzenia, które wcieli później w swoich powieściach w Rastignaka, w de Marsaya, w swoich wielkich *dandyśów*, a zarazem przekonywa się — jak Natan w *Córce Ewy* — jak straszliwie kosztowny może być dar miłości wielkiej damy... Bo wszystko — złe i dobre — co się zdarza w życiu Balzaka, jest jak gdyby przeznaczone na to, aby wzbogacić jego dzieło.

Jak nastarczyć swoim olbrzymim pracom przy tym trybie? Niemniej bibliografia balzakowska notuje w pierwszej połowie roku 1832 takie pozycje jak *Pułkownik Chabert* — owa historia bohatera, który, pochowany żywcem, cudem ocalony, wraca po latach do kraju, aby się uczuć prawdziwym nieboszczykiem; dalej — jedno z arcydzieł Balzaka — *Proboszcz z Tours*, dalej *Kobieta porzucona*, *Louis Lambert*, nie licząc mnogich artykułów i fragmentów. A każda z tych prac to wypad twórczy w jakieś nowe dziedziny, każda jest rozszerzeniem horyzontów powieści.

Pieniądzy, pieniędzy za wszelką cenę! Ale praca literacka, przy dawnych długach zwłaszcza, nie wystarczyłaby na te wszystkie świetności, mimo że młody autor, poszukiwany, modny, zarabia już bardzo dużo. Toteż Balzac naciąga nitkę swego kredytu do ostatnich granic. Stare długi topi w nowych. Oszałamia się paradoksami, które później tylekroć spotykamy w ustach jego bohaterów. Długi? Alboż Cezar nie miał milionowych długów, gdy doszedł do władzy? A Balzac marzy o władzy; kto wie, może o zamachach stanu, o przywróceniu wygnanej dynastii. Otoczenie pani de Castries utwierdza go w jego dość świeżym *legitymizmie*. Wówczas to zdobi drzwiczki swego

pojazdu herbem Balzaków d'Entraques. Ale rehabilituje go z tej słabości wspaniała odpowiedź, jaką dał komuś, kto mu udowodnił, że w żadnej mierze nie wywodzi się z tej rodziny. Balzac odpowiedział spokojnie: „Tym gorzej dla niej“.

Na razie Balzac nie chce myśleć o długach, chce poić się chwilą. Kiedy w lecie roku 1832 margrabina udaje się do wód w Aix, Balzac powierza swoje interesy matce i spieszy za nią. Wykłamuje się matce i księgarzom jak student, oznajmia ukończone książki, z których ma w głowie dopiero tytuł. Byłe się wyrwać, byle zdobyć trochę grosza.

(Tutaj warto zauważyć jeden szczegół. We Francji ówczesnej, tym kraju o handlowych tradycjach, o ile prawa autorskie były jeszcze szanowane dość lichy, o tyle zobowiązania autorskie były brane bardzo poważnie. Skoro autor się podjął dostarczyć rękopisu w umówionej objętości, musiał go dostarczyć; brak natchnienia czy przemęczenie nie były żadną wymówką. Sprawienie zawodu groziło kosztownym i z góry przegranym procesem, i Balzac takich procesów w ciągu życia miał sporo i nieraz w kilka nocy improwizował jakiś utwór, który lekkomyślnie na termin przyrzekł. *Muza z zaścianka*, na przykład, najwyraźniej „rozepchana“ jest kilkoma opowiadaniem, mającymi na celu pogrubienie rękopisu, co jej nie przeszkadza zresztą być arcydziełem).

Załatawszy tedy sprawy jak się dało, uśpiwszy czujność swoich argusów Balzac spieszy do Aix, gdzie ma nadzieję, że rozstrzygną się jego losy. Ale za nim w trop biegną zobowiązania, rozpoczęte prace, korekty. Aby wszystkiemu nastarczyć, ten człowiek o żelaznej woli, gdy idzie o jego dzieło, wstaje o piątej rano, pracuje do piątej po południu, krzepiąc się czarną kawą (już wówczas wszedł pod władzę tego narkotyku, którego nadużywał i który go miał zgubić); kawą zmieloną drobno, sprasowaną, zimną i prawie bez wody, której potężne działanie sławi, kiedy kawa, „stykając się z tkanką czczego żołądka, skręca jego ssawki i brodawki i dręczy go jak pytonissa przywołująca swego boga... Zwoje nerwowe rozżarzają się, płoną i strzelają iskierkami do mózgu. Z tą chwilą wszystko jest w ruchu: myśli manewrują niby bataliony wielkiej armii na polu bitwy, i zaczyna się bitwa. Wspomnienia maszerują z rozwiniętymi sztandarami;

lekka kawaleria metafor formuje się we wspaniałym galopie; artyleria logiki nadbiega ze swym taborem i swymi kartaczami, dowcip rozsypuje się w tyralierkę, postacie wyrastają z ziemi..." Tak pisał w *Traktacie o nowoczesnych narkotykach*, radząc wszakże ten środek jedynie „ludziom bardzo silnym, o włosach czarnych i twardych i o śniadej cerze” — słowem, jego własny rysopis. Takich fizjologicznych teorii miał Balzac mnóstwo i w nich był, jak się zdaje, nieodrodnym synem swego ojca.

Od szóstej wieczór jest na usługi swojej damy. Jeszcze dymiący natchnieniem, zjawia się w jej buduarze, aby się robić najpotulniejszym z bawidamków, aby żebrać o miłość, dać się wodzić za nos, a za chwilę, w poczuciu swej wartości i siły, wybuchać grzmotem gniewu i przyprowadzić zachwyconą damulkę o drzenie. Chcecie być świadkiem tych scen, tych odmiennych znowuż bitew, czytajcie *Księżnę de Langeais*.

W czasie pobytu w Aix, pani de Castries i szwagier jej, książę de Fitz-James (niżej księcia ani przystąpi!), zaproponowali pisarzowi wspólną podróż do Włoch ofiarując mu miejsce w swoim powozie. W jego stanie interesów było to szaleństwo, i Balzac — popełnia je z entuzjazmem. Zwiedzać Włochy, tę ziemię miłości — z Nią! z nią, która nareszcie, w tej podróży niemal poślubnej, podda się głosowi serca...

Mała gromadka wyjeżdża z Aix w październiku w r. 1832. Co zaszło w drodze — nie wiadomo, dość że w Szwajcarii pisarz wynajduje jakiś pretekst wzywający go pilno do Paryża i w sposób nader gwałtowny opuszcza towarzystwo. Wraca do swojej samotni i zanurza się w pracy. W kilka lat potem pisze: „Trzeba było pięciu lat broczących ran, aby moja tkliwa natura oderwała się od tej natury z żelaza... Ten stosunek to była jedna z największych zgryzot mego życia...”

Co zaszło tedy? Opowieść o tym, co zaszło, dał sam Balzac. Niedawno dopiero (w r. 1914) ogłoszono drukiem pierwszą wersję „spowiedzi lekarza” w *Lekarzu wiejskim*, pisanym tuż po tym genewskim epizodzie. W owej spowiedzi, którą w powieści swojej Balzac usunął i zastąpił inną, fikcyjną, opowiedziane jest wprost to zdarzenie:

„Oto moja straszliwa historia! Historia człowieka, który cieszył się kilka miesięcy całą naturą, wszystkimi czarami słońca w cudownym

kraju, i który traci wzrok. Po co mi było zastawiać taką ucztę?... Po co mnie nazywała przez kilka dni swoim ukochanym, skoro mi miała odebrać ten tytuł, jedyny, o który dba serce...

„Spyta mnie pan, jak się spełniła ta straszna katastrofa? Najprościej w świecie. Poprzedniego dnia byłem dla niej wszystkim: nazajutrz — niczym. W wilię głos jej był harmonijny i tkliwy, spojrzenie pełne pokus, nazajutrz głos był twardy, spojrzenie zimne...

„Przez kilka godzin demon zemsty kusił mnie. Mogłem ją zohydzić przed światem, przykuć do pręgierza hańby; strącić ją, piórem Juwenala, poniżej Messaliny: rzucić postrach we wszystkie dusze kobiece, budząc w nich lęk, aby nie były do niej podobne...”

Ale jeżeli Balzac w tej chwili odtrącił „demon a zemsty“, usłuchał go potem. Cały epizod z panią de Castries, zakończony sceną, gdy generał Armand de Montriveau, łudząco podobny do Balzaka, ma wypalić niegodnej znak hańby na czole, znalazł się w *Księżnej de Langeais*, które to opowiadanie w dodatku Balzac przeczytał publicznie w salonie pani de Castries.

Margrabina była zbyt światową damą, aby zdradzić najmniejszym gestem, że poznaje siebie w tej zuchwałej historii; wysłuchiwała, dała lekkie brawo, powiedziała: „To śliczne“, i zaczęła mówić o czym innym. Ale cały Paryż mówił o tym, dopóki nie zapomniał; to znaczy przez dwa dni.

„Byłby to żałosny widok dla tych, którzy znają wspaniałe wartości tego człowieka, widzieć go tak małym, tak drżącym; patrzeć, jak myśl, której promienie zdolne były ogarniać całe światy, kurczy się do rozmiarów buduaru salonowej lali“ — powiada Balzac w tym utworze, który zawierał dość brutalną i po męsku jednostronną analizę ich wzajemnej sytuacji. Bo, jak przyjdzie nieraz wspomnieć, *Komedia ludzka* ma dwojaką fizjonomię. Można ją czytać, tę *Komedię ludzką*, nie znając nic z życia jej autora, i wówczas wyda się bezosobistym eposem społecznym. Ale znowuż kiedy ją czytać inaczej, kiedy się zna okoliczności, w jakich powstał każdy utwór, przeżycia, jakie się w nim odbiły, widzi się, że wszędzie pozostawił autor strzępy własnego serca, własnych bólów i wzruszeń. I zdaje mi się, że ci, którzy chcieliby oderwać dzieło od osobistego życia twórcy, zubożają źródło doświadczeń i wzruszeń, jakich nam ono dostarcza.

Krzepka natura Balzaka wyszła zwycięsko z owej próby, ale przebudzenie było bardzo ciężkie. W miejsce marzeń o świetnej przyszłości, o władzy, o miłości, o wielkim świecie, który już uważał za własny — proza życia, „skrzecząca rzeczywistość“, wyrzut sumienia uosobiony w matce... Matka Balzaka była jego dobrodziejstwem i utrapieniem zarazem. Robiła mu dużo dobrego w sposób bardzo przykry. Pozytywna, sucha mieszcza nie rozumiała jego natury, jego egzystencji, jego rachub i potrzeb — nieraz zresztą dość trudnych do zrozumienia... Ale nabrała doskonałej wprawy w prowadzeniu jego interesów, w pertraktacjach z wydawcami; wypełnia jego drobiazgowo, niełatwe nieraz zlecenia, przepisuje mu rękopisy, utrzymuje na jego użytek rodzaj „biura prasowego“. Listy Balzaka do matki odzwierciedlają przede wszystkim stan jego interesów.

Obecnie interesy te stoją fatalnie. Pisarz myśli o sprzedaży mebli, nabytych z takim trudem! Decyduje się sprzedać konie, nie mogąc ich „żyćwieć poezją“. Myśli wreszcie o — bogatym małżeństwie...

Trzeba pisać, przykuć się do biurka na całe dnie, tygodnie. Pisanie było dla Balzaka wysiłkiem, nie było radością. Nie miał łatwości pracy, męczył się straszliwie nad stylem. Tyle nowych rzeczy wkłada w dawną formę powieści, że musi się męczyć nad znalezieniem nowych form, nowego słownictwa niemal. Każdy utwór przerabia po wiele razy. Stworzył sobie odrębną, nader mozolną technikę pisania. Kreślił pierwszy rzut powieści i posyłał do drukarni. Składano mu go pospiesznie i odsyłało z powrotem. W korekcie, oprócz zwykłych poprawek i retuszów, rzecz pęczniała, rozrastało się każde zdanie; każda stronica, odbita na wielkim arkuszu papieru, poznaczona była strzałkami i odsyłaczami. Korekty jego były sławne; męczyły zecerów tak, że ci wymawiali sobie nie więcej niż „g o d z i n ę B a l z a k a d z i e n n i e“. I takich korekt było kilka, czasem kilkanaście. A nowe wydanie nigdy nie było przedrukiem, ale zawsze gruntowną rewizją autorską.

Okrzyki rozpacz, zniecierpliwienia, skargi na móżół pisania wypełniają listy Balzaka. „Ze wszystkich stron krzyczą mi, że nie umiem pisać“ — zwierza się w liście do pani Hańskiej w epoce *Louis Lambert*, a do matki pisze w tym samym czasie: „Byłem zmiażdżony trudem, jaki mnie kosztował *Louis Lambert*; spędziłem nad nim

wiele nocy i do tego stopnia nadużyłem czarnej kawy, że nabawiłem się straszliwych kurczów żołądka...”

A najgorsze jest, że dzieła, w które najwięcej włożył trudu — zwłaszcza w owej epoce wrzenia duchowego — najmniej mu się wypłycały. Ledwie skończył owego *Louis Lambert*, w którym, jak pisze, „chciał rywalizować z Goethem i Byronem, z »Faustem« i z »Manfredem«”, ledwie puścił w świat tę książkę, wpada w rozpacz, przerabia ją z gruntu: „Jednego żałuję — pisze znów do Ewy Hańskiej — to, że ci zachwalał *Louis Lambert*, najsmutniejsze z poronionych dzieci...”

I nie tyle obfitość dzieł (choć i ta jest ogromna), ale ta rzadka sumienność wobec swojej myśli czyniła Balzaka owym — jak go nazywano nieraz — „galernikiem pracy”.

„Nie ma wielkiego talentu — pisze Balzac — bez wielkiej woli. Te dwie bliźniacze siły nieodzowne są do wzniesienia olbrzymiej budowli sławy. Ludzie wybrani utrzymują swój mózg w gotowości tworzenia, jak niegdyś rycerz miał broń zawsze ostrą i lśniąca. Zwykłą lenistwo, uchylają się od uciech lub poddają się im jedynie we wskazanej dla nich mierze... Wola powinna być przedmiotem dumy o wiele bardziej niż talent. O ile talent ma swoje źródło w rozwoju wrodzonej zdolności, wola jest to zdobycz osiągnięta wciąż na instynktach, na pokonanych i zdławionych chęciach, na zwyciężonych kapryсах i przeszkodach, na wszelkiego rodzaju bohatersko zwyciężonych trudnościach...”

W tych warunkach, przy takiej pracy, przy takich zmianach nastroju, od hardej wiary w siebie aż do rozpacz i zniechęcenia, przy takim nieporządku życiowym, przy tym życiu z musu niemal klasztornym a przerywanym „pantagruelicznymi” wybrykami, przy tej kipiącej wyobraźni, jasne jest, że każdy związek sercowy Balzaka musiałby się skończyć katastrofą. I nie jest może trafem — a jeżeli trafem, to dla pisarza szczęśliwym — fakt, że wówczas pojawiła się w życiu Balzaka istota wcielająca jedyną może formę miłości, jaka dlań na dłuższą metę była możliwa, miłość przez wyobraźnię — miłość, która, dzięki listom pisarza, stała się jednym członem więcej *Komedii ludzkiej*.

W lutym roku 1832 — w chwili niemal gdy wybierał się pierwszy raz z wizytą do pani de Castries — otrzymał Balzac inny list od kobiety, datowany z zapadłej wsi na Ukrainie. List ten, obok entuzjazmu wywołanego jego utworami, zawierał ubolewanie nad pesymizmem i brutalnością *Jaszczura* i zaklinał pisarza, aby wrócił „do źródła czystszych natchnień“.

W tej chwili Balzac — wciąż robiący niespodzianki swoim wielbicielom — kończył druk pierwszego dziesiątka swoich płochych *Ucieszonych opowiadań* (*Contes drolatiques*), poczętych z ducha Rabelais'go i Brantôme'a; musiał się uśmiechnąć. Zresztą było to w pełnym rozkwicie miłości do pani de Castries: miejsce na Muzeum było zajęte. Nie mając czasu odpowiedzieć sam, poprosił serdecznej i zaufanej przyjaciółki swojej, pani Zulmy Carraud, aby odpisała za niego. Zabawne jest, że Ewelina Hańska — bo ona była tą tajemniczą korespondentką — też nie pisała swego listu sama, ale pisała go guwernantka francuska w jej domu. I te dwa listy — oba kreślone cudzą ręką — zdecydowały o losie dwojga istot, związały miłość trwającą siedemnaście lat, do końca życia pisarza, i w końcu — za późno — uwieńczoną małżeństwem. Trzeba nam tedy powiedzieć kilka słów o tej, która odegrała w życiu pisarza taką rolę i która znana jest w literaturze francuskiej pod godłem „Cudzoziemki“.

Interesuje nas tym bardziej, że jest Polką i że zażyłość ta miała wielkiego pisarza związać z Polską.

Ewelina Hańska urodziła się około roku 1804, była tedy o parę lat młodsza od Balzaka. Z domu hrabianka Rzewuska, była siostrą

znakomitego powieściopisarza Henryka Rzewuskiego oraz siostrą ową Karolinę Sobańską, wsławioną miłostką Mickiewicza w Odesie we wspólnej podróży na Krym. Duma rodowa oraz kultura umysła były tradycyjne w domu Rzewuskich. Rodzice Eweliny, w trudnym położeniu majątkowym, szukali dla niej męża, który by przede wszystkim był bogaty. Znaleźli go w osobie Wacława Hańskiego, właściciela olbrzymich włości na Ukrainie, z rezydencją w Wierchowni, starszego o dwadzieścia pięć lat od panny. Z małżeństwa tego urodziło się rychło pięcioro dzieci; czworo umarło wcześniej, została tylko najmłodsza córeczka Anna.

Życie młodej pani Hańskiej, puste i bezbarwne, płynęło tedy w Wierchowni. Zapełnia je marzeniem i lekturą. Władając językiem francuskim lepiej niż własnym, pogrąża się w literaturze francuskiej, wówczas panującej wszechwładnie w jej świecie: śledzi nowości paryskie, myślami przebywa w mieście, które tak magicznie działało na Europę.

I ona, jak wszystkie kobiety, musiała drgnąć w zetknięciu z utworami Balzaka: tak jeszcze do niej nie mówił nikt! — ale równocześnie, jakże ten młody pisarz obrażał poczucie delikatności dobrze wychowanego anioła!

I pani Ewa pisze do Balzaka ów list, po nim następne. Styl tych epistoł, z których parę się zachowało, wyda się dziś mdły i sztuczny, ale to był styl epoki.

„Pańskie pisma przejęły mnie uczuciem głębokiego entuzjazmu: pan jesteś świetnym meteorem, który ma dać życie i ruch nowej treści: ale niech się pan strzeże rafa!... Otaczają pana, czuję to... Chciałabym być jasnym aniołem i ustrzec pana od wszelkiego błędu. Podziwiam pański talent, składam hołd pańskiej duszy, chciałabym być pańską siostrą...”

List ten — już nie pierwszy — pisany w listopadzie r. 1832, zawierał zarazem wskazówkę, w jaki sposób można by na niego odpowiedzieć za pomocą dziennika „La Quotidienne“, mającego wstęp do Rosji. „Drobne ogłoszenia“ — już wtedy!

Jakoż odpowiedział:

Pan de B. otrzymał przesyłkę: dopiero dziś może potwierdzić odbiór za pośrednictwem tego dziennika i boleje, że nie wie, dokąd ma skierować odpowiedź.

Dla C(udzoziemki) — H. de B.

Było to, jak rzekłem, jesienią roku 1832, tuż po bolesnym epizodzie genewskim. Teraz nieznajoma przypomniła się bardziej w porę. Niebawem Balzac otrzymał nową przesyłkę ze stepów: książkę oprawną w zielony safian, „Naśladowanie Chrystusa“. Przyszło w chwili, gdy Balzac męczył się nad swoją powieścią *Lekarz wiejski*, wielokrotnie i mozolnie przerabianą, natchnioną duchem ewangelicznym. Ta telepatia sprawiła głębokie wrażenie na umyśle pisarza, w którym poczucie rzeczywistości kojarzyło się z mistycyzmem, a raczej który wciągał w obręb rzeczywistości zjawiska „ponadmysłowe“ i wierzył w nie niezłomnie. Może przesyłka ta oddziaływała na przeobrażenie *Lekarza wiejskiego*, który miał być dziełem zemsty, a stał się dziełem pokory i miłości? Balzac coraz więcej wkłada w tę korespondencję; zaspokaja ona pragnienia jego serca, a zwłaszcza wyobraźni, nie odrywając go od pracy... Pisze długie listy, a ton ich stopniowo staje się coraz gorętszy. W lutym r. 1833 pisze: „Kocham cię, choć nieznana...“ W marcu: „Już zanadto cię kocham, mimo że cię nie widziałem. Są zdania w twoich listach, które przyprawiają mnie o drżenie... Wolę jeden twój list niż sławę lorda Byrona...“ W lipcu: „Kochać się, nie znając, to męka...“ W sierpniu: „Jutro złamałbym pióro, gdybyś pani tego żądała; od jutra żadna kobieta nie usłyszy mego głosu...“

A zważmy, że wówczas nie było jeszcze fotografii! Uśmiechamy się mimo woli, czytając, jak po wybuchach miłosnych naraz powiada: „Gdyby się jeszcze okazało, że jesteś młoda i piękna, oszalałbym z radości“. Ale Balzac wierzy w swoją cudzoziemkę. Spowiada się jej ze wszystkiego, dramatyzuje wspaniale swoje życie, swoje walki, swoje finanse nawet; uśmierza jej niepokoje, zadowala jej ciekawość paryskiego świata.

Łatwo zgadnąć, że pani Ewelina, która nie spodziewała się takiego sukcesu swego pierwszego listu, pisanego cudzą ręką, zrodzonego może z nudy wiejskiej, obmyślała tymczasem sposób wyrwania się

z Wierzchowni i zbliżenia się do swego literackiego kochanka. Nie było to wówczas tak proste; pomijając inne trudności, trzeba było zgody cara, która ściśle określała dozwolone miejsce pobytu. I tak, nie pozwolono panu Hańskiemu wybrać się do Paryża. Podejrzewają, że chytry szlachcic, który zresztą nie miał żadnego pojęcia o żoninej korespondencji, sam postarał się o ów zakaz, aby nie musieć wieść żony do nowoczesnego Babilonu. Otrzymał natomiast p. Hański pozwolenie na podróż do cnotliwej Szwajcarii, gdzie miał spotkać — Paryż w osobie jego najniebezpieczniejszego ambasadora, Balzaka! W Neufchâtel nastąpiło umówione spotkanie idealnych kochanków. Było to w półtora roku po pierwszym liście pani Ewy. Miała czekać na pisarza na promenadzie, z tomem Balzaka w ręku.

Jak odbyło się to pierwsze spotkanie? Są dwie wersje. Jedna, bardzo piękna, to iż pani Hańska, ujrzawszy Balzaka, którego знаła z portretów, wzruszona upuściła książkę. Wówczas on rzucił się ku niej i wymienili ten podwójny okrzyk: „Ewa! — Honoriusz!“ Druga wersja, mniej poetyczna, to że pani Hańska, widząc zbliżającego się krótkiego i grubego, pretensjonalnie ubranego i dość groteskowo wyglądającego jegomościa, pomyślała sobie w duchu: „Jezus Maria, byle to nie był ten!“ Balzac z powierzchowności swojej daleki był od wcielenia romantycznego ideału. Ale faktem jest, iż niebawem urok jego rozmowy, geniuszu, jego werwa, szczerość, wreszcie własny jego zachwyt podbiły panią Ewę najzupełniej¹. Musiał mieć jakiś niezwykły czar, skoro księgarz jego — i to taki, który na nim stracił — pisze we wspomnieniach, że „kiedy czarne, palące, magnetyczne oko Balzaka spoczęło na nim, byłby mu oddał bodaj ostatniego talara“.

Balzac zachwycony był od pierwszej chwili swą nieznajomą. W liście pisanym na gorąco do siostry wystawia swoje przyszłe szczęście w stylu dosyć... kawalerskim:

„Grunť, że mamy dwadzieścia siedem lat, buzię jak malowanie, śliczne czarne włosy, rozkoszną cerę brunetki, maciupą rączkę, dwu-

¹ Udało mi się znaleźć w bibliotece Przeździeckich w Warszawie list Ewy Hańskiej pisany do brata, Henryka Rzewuskiego, w kilka tygodni po poznanu Balzaka i kreślący w entuzjastycznych słowach jej pierwsze wrażenie.

dziestosiedmioletnie naiwne serduszko... Nie mówię ci o niesłychanych bogactwach. Cóż to znaczy wobec arcydzieła piękności... Do tego oko powłóczyście, które, skoro się uweźmie, staje się bosko rozkoszliwe. Byłem pijany miłością.“

I oto mimochodem znajdujemy w tym liście do siostry ciekawy inwentarz miłosnego życia Balzaka, z czasu gdy prowadził egzaltowaną korespondencję ze swoją nieznajomą:

„Nie wiem, komu to opowiedzieć: to pewna, że nie mogę tego opowiedzieć ani jej, wielkiej damie, straszliwej margrabinie (pani de Castries), która, podejrzewając tę podróż, spuszcza z tonu i śle mi rozkaz, aby się z nią spotkać u księcia F...; ani też jej, biednej, prostej i rozkosznej mieszczce. Jestem ojcem — oto inny sekret, który ci miałem zwierzyć — i posiadaczem miłutkiej osóbkki, najnaiwniejszego stworzenia pod słońcem, która spadła mi niby kwiat z nieba, która przychodzi do mnie po kryjomu, nie wymaga ani listów, ani nadskakiwań i powiada: »Kochaj mnie rok, a ja będę cię kochała całe życie«.

„Ani tej jej, najukochańszej (pani de Berny), która jest o mnie zazdrosna bardziej niż matka o mleko, które daje dziecku! Nie lubi Cudzoziemki właśnie dlatego, że Cudzoziemka tak bardzo mi odpowiada.

„Wreszcie nie jej, która chce mieć swoją codzienną porcję miłości i która, mimo że lubieżna jak tysiąc kotek, nie ma ani wdzięku, ani kobiecości...

„Tobie zatem, moja dobra siostró“ etc.

Idylla trwała tylko pięć dni. Oczarowawszy panią Ewę, oczarowawszy jej męża, Balzac wraca do Paryża, dokąd wołają go prace i zobowiązania. W tej chwili wchodzi w najpłodniejszy, najszczęśliwszy okres twórczości, która snadź potrzebowała tej atmosfery miłosnej. Po mniej udałym *Lekarzu wiejskim*, w którym pierwotnie zamierzał zlikwidować swoją margrabinę, a który zmienił się w ważką koncepcję społeczną, tworzy pierwsze swoje arcydzieło w wielkim stylu, poczęte „pod znakiem Ewy“ — *Eugenie Grandet*, to studium namiętności, absurdałnej, jałowej, niszczącej, namiętności złota, namiętności, która tak się odrywa od wszelkich praktycznych celów, że nabiera cech niemal platońskiej idei. Są tam karty natchnione wprost

stosunkiem do Ewy. Ładna scena na przykład, gdy Eugenia przynosi kuzynowi swój skarbczyk, jest reminiscencją tysiąca franków, z którymi ofiarowała się pani Ewa w czasie jednej z wielu katastrof Balzaka. I tuż przed przyjazdem do Genewy, gdzie mieli się spotkać po raz drugi, Balzac pisze:

„Jakże ja parskam jak biedny niecierpliwy koń! Żądza widzenia ciebie rodzi we mnie rzeczy, które zwykle nie przychodzą mi do głowy. Poprawiam szybciej. Dajesz mi siłę nie tylko znoszenia trudności życia, dajesz mi i talent, a przynajmniej łatwość. Trzeba kochać, Ewo moja ukochana, aby opisać miłość Eugonii Grandet, miłość czystą, olbrzymią, dumną! Och, droga, dobra, boska moja Ewo, co za ból nie móc ci powiedzieć, co wieczór robiłem, mówiłem i myślałem...”

W ciągu tego pierwszego spotkania kochankowie wymienili przyrzeczenie małżeństwa, w razie gdyby pani Ewa była kiedyś wolna. Epoka romantyzmu obfitowała w takie mistyczne zaręczyny. Kilka tygodni spędzonych w Genewie (styczeń 1834) są nowym upojeniem. Zwiedzają razem willę Diodati, gdzie kochał i cierpiał lord Byron; zwiedzają czarowne okolice Genewy, pływają po jeziorze. I cóż za odwet: ta Genewa, gdzie wycierpiał tyle upokorzeń, widzi go oto szczęśliwym, kochanym przez istotę młodą, piękną i też wielką damę; w dodatku opromienioną egzotykiem dalekich krain, gdzie szumi ocean zboża, a wierne „muzyki” padają na twarz przed swymi panami, oddając im boską cześć. (Często później w listach do Ewy Balzac będzie się mienił jej „muzykiem”). W Genewie kończy Balzac ową *Księżnę de Langeais*, w której, już na zinnu, oblicza się z niedawną przeszłością.

W czasie tego pobytu Balzac wpisał w albumie Ewy to zdanie: „Wielcy ludzie są jak skały, czepiają się ich tylko ostrygi”. Ewa dopisała: „W takim razie ja jestem ostrygą”. Ale te zbyt krótkie chwile spływały: znów Balzac, zakochany po uszy, wraca do swej nadludzkiej pracy, aby dla niej, dla swojej Ewy, stać się wielkim, niezależnym, bogatym. Ona, wraz z mężem, córeczką i całym dworem, składającym się z bony Francuzki i dwóch kuzynek, udaje się do Włoch.

Ten rok 1833 i następujący po nim 1834 to były przełomowe lata w życiu genialnego pisarza. Widzieliśmy, jak niezdecydowane były jego początki: jak później, nawet po pierwszych sukcesach, twórczość jego rozprasza się na pozór, przerzuca się od jednego rodzaju do drugiego. Krytyka, jak zawsze mająca skłonność do „etykietek“, nie mogła się w tym zorientować. *Proboszcz z Tours* a *Kobieta trzydziestoletnia*; aż nazbyt przeduchowiony *Louis Lambert* i rabelesowskie *Contes drolatiques*; *Szuwanie*, opowieść historyczna ociekająca krwią — i znowuż owe sceny malujące z drobiazgowym zachowaniem tła epizody spokojnego mieszczańskiego życia — jak powiązać to wszystko? Kiedy się ukazał *Lekarz wiejski*, tym bardziej nie wiadano, co znaczy ta chłopska idylla, przeplatana traktatem politycznym, pod piórem pisarza, który, wedle utartego zwrotu, „zrozumiał kobietę“, którego już chciano zamknąć w jego specjalności „fizjologa“ spraw niewieścich.

Ale i sam Balzac niezupełnie był w tym zorientowany. Można by go porównać z malarzem, który w somnambulicznym transie wykonywa rozmaite partie olbrzymiego fresku, zaledwie sobie zdając sprawę z ich łączności. Jest w owej epoce nieprzytomny wprost od ciśnienia geniuszu. „Żyję — powiada — w atmosferze pomysłów, idei, planów, prac, zamierzeń, które się ścierają, kipią, iskrzą w mojej głowie. Można od tego oszaleć.“ Aż jednego dnia — było to w owym roku 1833 — wpadł promieniejący do siostry i wykrzyknął radośnie: „Pokłońcie mi się, zostaję po prostu geniuszem“. I roztoczył swój plan, którym była całość *Komedii ludzkiej*. „To będzie wspaniałe, jeżeli mi się uda — wołał. — Z jakimż spoko-

jem pozwolę sobie teraz wymyślać od »nowelek«. Cieszę się z góry na zdumienie krótkowidzów, kiedy ujrzą olbrzymi gmach, jaki stworzą te nowelki!”

Dotychczas mniejsze i większe opowiadania Balzaka tworzyły — jakby bez jego wiedzy — zarys współczesnego społeczeństwa: otóż w tej chwili, w nagłym błysku, powziął on myśl powiązania wszystkich tych części w jedną wielką całość, ustosunkowania do siebie osób, grup społecznych, środowisk, dziesięcioleci — słowem, objęcia olbrzymim eposem całej nowoczesnej Francji, będącej zarazem odbiciem życia społecznego w ogóle.

„Dzieło moje — pisze do Zulmy Carraud w r. 1834 — musi mieścić wszystkie typy i stany, malować wszystkie zjawiska społeczne tak, aby nie pominąć ani jednej sytuacji, ani jednej fizjonomii, charakteru mężczyzny lub kobiety, sposobu życia, zawodu, perspektywy, ani jednej prowincji francuskiej, ani też najmniejszego rysu dzieciństwa, starości, wieku dojrzałego, polityki, sądownictwa, wojny...”

Mimo że ów plan jest najoczywściej programem *Komedii ludzkiej*, tytuł ten, obejmujący wszystkie niemal utwory Balzaka, urodzi się dopiero później, w r. 1841; na razie, w r. 1833, Balzac miał na myśli ujęcie swoich powieści w poszczególne grupy. Grupy te zachował i później, jako poddziały *Komedii ludzkiej*, jak: Sceny z życia prywatnego, Sceny z życia prowincji etc. — podział nieco sztuczny i który nie odgrywa w pojmowaniu całości zasadniczej roli. Bardziej interesująca jest lista nie napisanych utworów, które miały dopełnić planu olbrzymiego dzieła. Wśród tych tytułów widnieją np. trzy powieści z życia dzieci, szereg powieści z życia wojakowego etc. Zważmy, że śmierć zaskoczyła pisarza w pełni lat i twórczości.

Olbrzymi ten plan potroił siły Balzaka; on to, obok innych wspomnianych przyczyn, stał się podniętą jego gorączkowej twórczości. Od tej chwili nie rozprasza się na przygodne artykuły ani drobiazgi: wszystkie siły oddaje swojemu dziełu. Od tej chwili nawet drobniejsze utwory komponuje świadomie pod kątem całości: jeżeli np. w *Ojcu Goriot* poznaliśmy machinacje bankiera Nucingena w jego początkach, *Bank Nucingena* daje nam historię tych począt-

ków, jak znowu *Ojciec Goriot* zapoznaje nas z panią de Beauséant, której późniejsze koleje znamy z wcześniej napisanej *Kobiety porzuconej*. W wyobraźni poety wyłaniał się cały świat, rysował się coraz wyraźniej, szczegółowiej, coraz jaśniejsze stawały mu się wszystkie związki. Widział całe swoje dzieło na raz; ta lub owa powieść, którą miał napisać aż znacznie później, poczęta była w jego mózgu od lat. Niejeden fragment już dawniej napisany zyskiwał dopiero teraz swoje miejsce i łączył się z innymi. Postać, która odgrywa jedynie epizodyczną rolę w jednej powieści, staje się bohaterem lub bohaterką w drugiej. Większość ważniejszych figur balzakovskich powtarza się tedy w całym szeregu powieści, tworząc niejako idealne społeczeństwo obdarzone samoistnym życiem, rozwijające się, dające samemu twórcy złudzenie rzeczywistości. Stąd niejedna postać nakreślona jest paroma rysami lub po prostu wspomniana tylko nazwiskiem, jak ktoś dobrze znajomy, ponieważ autor pogłębił ją w innej powieści.

Liczba osób tworzących owo społeczeństwo Balzaka, które, wedle jego wyrażenia, „robi konkurencję rejestrom ludności“, sięga paru tysięcy. Czytając *Komedie ludzką* po raz pierwszy, trudno zorientować się w tym lesie; to zrodziło w dwóch zagorzałych balzakistach pomysł jedyne go w swoim rodzaju wydawnictwa. Jest to „Skorowidz“ do pism Balzaka, w którym pod nazwiskiem każdej postaci możemy znaleźć dane jej biografii, wydobyte z utworów, gdzie o tej postaci jest mowa. Weźmy dla przykładu jakąś figurę, np. Finot — oto co znajdziemy pod tym nazwiskiem:

FINOT (Andoche), właściciel kilku dzienników i tygodników za Restauracji i za Ludwika Filipa. Syn kapelusznika z ulicy du Coq, Finot zaczął życie w nędzy, opuszczony przez ojca, twardego kupca. Zredagował olśniewający prospekt, zachwalający olejek na porost włosów Popinota, krzątał się koło anonsów i reklamowania go w prasie; toteż zaproszono go na słynny bal, wydany przez Cezara Birotteau w grudniu 1818. Finot był już wówczas w stosunkach z Feliksem Gaudissart, który właśnie zalecił go młodemu Popinot jako pośrednika i reklamistę pierwszej klasy. Wszedł w skład redakcji *Kuriera Teatralnego* i uzyskał wystawienie sztuki w Gaîté. W r. 1820 wydawał dzienniczek teatralny, którego redakcja mieściła się przy ulicy du Sentier, itd., itd.

Nie powiedziałby kto, że tu idzie o żywego człowieka? I Balzac

nie gubi się w tym nigdy; ledwie czasem zdarzy mu się jaka nieścisłość w ubocznym szczególe.

Bo też od tej chwili pisarz żyje jak w halucynacji. Wciela się w swoje postacie tak, że stają się dlań rzeczywistsze niż samo życie. Dziesiątki anegdot świadczą o tym. „Wiesz, z kim żeni się Feliks de Vandenesse? — mówi z ożywieniem Balzac wpadając do siostry. — Z panną de Granville; wyborna partia: Granvillowie są bogaci, mimo że panna de Bellefeuille szarpnęła ich mocno.“ Kiedy przychodzi wydać za mąż znowuż pannę de Grandlieu, Balzac szuka, przebiera, grymasi, jakby chodziło o prawdziwe małżeństwo. Jednego dnia Juliusz Sandeau, wróciwszy z podróży, mówił mu o chorobie swej siostry; Balzac słuchał go jakiś czas, ale wreszcie przerwał: „Wszystko to pięknie, mój drogi, ale wróćmy do rzeczywistości; mówmy o Eugenii Grandet“.

Akcja utworów składających się na *Komedję ludzką* rozgrywa się przeważnie między rokiem 1815 a 1846, czyli obejmuje epokę Restauracji i Ludwika Filipa. Parę zaledwie powieści sięga dalej wstecz; ale opowiadając przeszłość bohaterów i wywodząc ich genealogię — a robi to zawsze — Balzac raz po raz czyni wypadki poprzez rewolucję i Napoleona aż w dobę dawnej monarchii.

Lata owe, następujące po ukończeniu wojen, są epoką tworzącej się nowoczesnej Francji, szybko postępującego stopienia się wszystkich warstw: przeżytków dawnej monarchii, rewolucji, napoleonizmu, rozbitków Wielkiej Armii, powracających z wygnania Burbonów i ich stronników, nowego legitymizmu, frondy orleańskiej i rodzącej się epoki mieszczaństwa wraz z kształtującą się masą ludową. Trzeba przyznać, że jak na obserwatora i naturalistę społeczeństwa Balzac zjawił się w szczęśliwej chwili! Urodzony z samym końcem XVIII wieku, mający jeszcze — przez zetknięcie z naocznymi świadkami — czucie z tradycją dawnej monarchicznej Francji, chłonący uchem pacholęcia echa fanfar napoleońskich, patrzący na Restaurację, na rewolucję lipcową, wreszcie na apogeum epoki mieszczańskiej uosobionej w rządach Ludwika Filipa, Balzac czuł i rozumiał wszystkie współczesne prądy, mógł śledzić niejako *in statu nascendi* wszystkie owe połączenia chemiczne, z któ-

rych wytworzyło się nowoczesne społeczeństwo. Toteż dzieło jego jest wiernym odbiciem tego rodzącego się świata: rozpętania wszystkich sił, ambicji, otwarcia szranków dla wszystkich zapaśników, bez ograniczeń i hamulca; tego wyścigu do władzy, znaczenia, dobrobytu; wyścigu, w którym wszystkie środki są równie dobre, a raczej w którym, wśród załamania się dawnych wierzeń i świętości, i środki, i cele streszczają się w jednym słowie: Pieniądz.

VIII „KOMEDIA LUDZKA“ NA TLE EPOKI

Aby dać właściwą perspektywę *Komedii ludzkiej* Balzaka, trzeba choć w kilku słowach przypomnieć wstrząsy i przeobrażenia, jakim uległa struktura polityczna i społeczna Francji od wielkiej rewolucji r. 1789 aż po „wiosnę ludów“ — r. 1848. Między trzema hasłami, w imię których poszła w bój rewolucja, widniało pośrodku hasło r ó w n o ś c i. Zniesiono wszystkie przywileje i tytuły. W rzeczywistości równość ta oznaczała dla szlachty stan upośledzenia; gilotyna zaczęła działać. Bracia królewscy czmychnęli za granicę; sam król z żoną i dziećmi poszedłby ich śladem, gdyby mu nie przeszkodziło przytrzymawszy go w Varennes, co stało się początkiem krwawej likwidacji tronu. Wielu ze szlachty, przez wierność dla dynastii lub w obawie o własne życie, uchodziło z Francji; ale nieobecność pociągała za sobą konfiskatę majątku. Ponieważ równocześnie skonfiskowano olbrzymie dobra duchowne, rzuciło to na targ mnóstwo ziemi i nieruchomości, które sprzedawano za bezcen spekulantom idącym z nowym prądem. Toteż rewolucja stała się dla niejednego wieśniaka lub mieszczaucha początkiem olbrzymiej fortuny — jak dla starego Grandet w powieści Balzaka — i w ogóle podstawą zasadniczych przemieszczeń terytorialnych.

Kiedy po dyktatoracie i konsulacie Napoleon został cesarzem, zapragnął pojednać pod swoim berłem wszystkie elementy, oczywiście z warunkiem zupełnej uległości. Emigranci zaczęli wracać z wygnania; wielu pojednało się z nowym rządem. O ile godzili się swymi starymi herbami uświetnić nowy dwór, odzyskiwali, częściowo bodaj, rodowe majątki lub otrzymywali zyskowe urzędy. Równocześnie Napoleon uczynił nowe wyłomy w zasadzie równości:

stworzył nową arystokrację, baronów, hrabiów i diuków cesarstwa, nagradzał milionowymi donacjami swoich marszałków, stworzył potężny czynnik emulacji w orderze Legii honorowej. Zarazem jednak szanował to, co rewolucja dała swoim stronnikom, uznając wszystkie terytorialne zmiany własności.

Epoka Napoleona była to doba młodzieży. Tak jak w czasie kampanii włoskiej 26-letni generał Bonaparte był najstarszym żołnierzem swojej armii, tak i później młodość miała przywileje. Ginęło po prostu tyle ludzi w ciągłych wojnach, że było ich wszędzie brak. Ileż przy tym nowych prowincji do obsadzenia, do urządzania! Kto miał głowę na karku, szybko robił karierę. Jeżeli był w armii, a nie zginął, awansował po każdej bitwie; jako młody chłopiec mógł być majorem, pułkownikiem. Jeżeli się wykupił od wojska, dając za siebie zastępcę, w służbie cywilnej pracował nad miarę, ale również szybko szedł w górę: cesarzowi potrzeba było ludzi zdolnych.

Wszystko to zmieniło się rychło z nastaniem Restauracji. Wrócili Burboni: sędziwy i podagryczny Ludwik XVIII, brat świętego przed dwudziestu laty króla. Z nim wrócili starzy i wierni słudzy dynastii, emigranci, którzy nie dali się znieść pokusom Napoleona, ludzie, „którzy niczego nie zapomnieli i niczego się nie nauczyli“, wedle wyrażenia Talleyranda, który znowuż — co się jego samego tyczy — nauczył się bardzo dużo, bo z biskupa został kolejno ministrem Napoleona, Ludwika XVIII i Ludwika Filipa.

Zaczął się „biały terror“, prześladowanie politycznych przeciwników. Ale równocześnie dalej postępował proces wymieszania się wszystkich elementów. Król, choćby i chciał, nie mógł tykać praw nabytych po rewolucji i utrwalonych za Napoleona: gdyby je tknął, ani trzech dni nie osiedziałyby się we Francji. Jedynie konfiskaty państwowe wróciły w części do dawnych właścicieli. Ale nie zawsze najwierniejsi byli najobficiej nagradzani; polityka wymaga raczej, aby zyskiwać mniej pewnych niż aby nagradzać wypróbowanych stronników. Monarchia Ludwika XVIII, która dała narodowi coś w rodzaju konstytucji, przejęła tedy wiele faktów dokonanych z przeszłości, mimo że lata dzielące detronizację Ludwika XVI od wstąpienia na tron Ludwika XVIII silono się uważać za nieistniejące w historii Francji. Marszałkowie i wodzowie Napo-

leona, o ile nie zostali rozstrzelani, jak Ney albo Murat, król Neapolu, weszli w nową służbę, prześcigając się w gorliwości rojalistycznej, aby zachować swoje donacje i rangi. I hrabiowie cesarstwa konserwowali swoje tytuły, mimo że stara arystokracja patrzyła na nich krzywym okiem. Łaskami dworu szafowała garstka faworytów, wielkie damy i przywrócony do potęgi kler. Ci ze szlachty, którzy nie mogli odzyskać majątku, żenili nieraz syna z córką dawnego dzierżawcy lub chłopą milionera, który wzbogacił się na konfiskacie ich własnych dóbr.

I jakaż różnica fizjonomii między tym panowaniem a erą Napoleona! Ci, co wrócili z wygnania, to byli ludzie starzy; i król, i jego doradcy: upiory przeszłości. Starczość — to była cecha tej monarchii. Kazano młodzieży być cierpliwą, posłuszną, nabożną. Brak wszelkiego upustu dla energii, trudność wybicia się — protekcja i urodzenie w miejsce talentów.

W miarę jak monarchia trwała i czuła się silniejsza, reakcja podnosiła coraz śmieiej głowę. Zamordowanie księcia Berry (1820), zamiast stać się ostrzeżeniem, spowodowało tym głębsze skleryzowanie kraju oraz skneblowanie prasy. Ale zwłaszcza po śmierci Ludwika XVIII (1824), który z filozoficznym sceptycyzmem lawirował wśród kompromisów, wstąpienie na tron brata jego, Karola X — stanowczo oddało rządy kraju tzw. „ultrasom“. I kiedy w roku 1830 Karol X wydał owe słynne rozporządzenia lipcowe, w których rozwiązywał izbę, znosił wolność prasy i zmieniał prawo wyborcze, wybuchła rewolucja i w ciągu paru dni zmiotła Burbonów.

Rewolucja lipcowa zawiodła nadzieje republikańców. Francja zmieniła jedynie króla i dynastję. Wstąpił na tron Ludwik Filip, potomek młodszej linii królewskiej Orleanów, syn Filipa-Egalité, tego, który niegdyś, w czasie wielkiej rewolucji, intrygował przeciw monarchii i przyczynił się do śmierci swego królewskiego kuzyna, aby w końcu z kolei dać głowę na gilotynie podczas terroru. Panowanie Ludwika Filipa, króla, którego usymbolizowano jako jegomościa z parasolem, dlatego że lubił się tak po mieszczańsku przechadzać po Paryżu, stało się tryumfem mieszczaństwa. „P o k ó j z a w s z e l k ą c e n ę“, popieranie przemysłu i handlu, to są cnoty, które w innej epoce Francja umiałyby może lepiej ocenić, ale wówczas budziły one pogardę dla

tego króla-filistra. Miejsce dawnej armii Napoleona zajęła gwardia narodowa, której oficer — jakiś zbogacony kupiec — z trudem dopinał mundur na wypukłym brzuszku. Przekupstwo korygowało szeroką ustawę wyborczą. Fortuny mieszczańskie rosły, pieniądz coraz bardziej niwelował różnice społeczne, wymieszanie warstw postępowało dalej. To panowanie, niesympatyczne Balzakowi, trwało osiemnaście lat i znalazło również gwałtowny koniec. Bo już poza sytym mieszczaństwem dojrzewała nowa potęga, której nie umiano docenić: uświadomiony robotnik. Daremnie ideolodzy, jak Saint-Simon, jak Fourier i inni, silili się wcześniej znaleźć rozwiązanie kwestii ekonomicznej: w roku 1848 „kwestia“ ta wyszła na ulicę i wzniosła barykady.

Balzac stał się tedy historiografem owych kolejnych epok. Ten sam powieściopisarz, który odgadł wszystkie sekrety kobiecego serca, przejrzał i tajemnicę mechanizmu społecznego. Różne odcienie myśli społecznej, wszelkie warstwy, grupy, ewolucje idei i interesów, wszystko to daje bogate tło poszczególnym jego powieściom. Psychologia przeżytków napoleońskich w epoce trwałego pokoju, wyrastanie olbrzymich fortun ponad miarę małych ludzi, których stały się udziałem, niemoralna potęga prasy i giełdy, zmieniające się obyczaje handlowe, kombinacje finansowo-mażeńskie, szarlatanerie polityczne, twórcza gorączka wynalazcy wraz z nieodłącznym spekulantem, który go wyzyskuje, walka bezrolnych z wielką własnością, mieszczaństwa ze szlachtą, zamki prowincjonalne i sutereny paryskie, wszystko to pokazuje nam kolejno lub na raz. I jak to wszystko żyje, jak mocno wiąże się z sobą!

Balzac staje się tedy poetą pieniądza: można by powiedzieć, że to on go wymyślił, stworzył. Balzac widzi w nim to, czym jest w istocie w życiu; czym stał się zwłaszcza w ówczesnym społeczeństwie; przemożną, symboliczną niemal siłę, fluid przenikający wszystko, wciskający się wszędzie, czynnik kształtujący największe i najdrobniejsze sprawy, niezbędny do zrozumienia życia i ludzi. Stąd ta drobiazgowa troska, z jaką notuje co do centyma stan posiadania swoich bohaterów; stąd ten zawrotny taniec milionów, stanowiący konkluzję każdej niemal jego powieści. Pieniądz jest dla Balzaka nicią Ariadny, która prowadzi go nieomylnie w labiryncie

nowego społeczeństwa; daje mu wyczuć związki między pałacem a suteroną, Paryżem a prowincją, tworami ducha a przyziemnością materii. Pieniądz jako motyw artystyczny to jeden z tysięcy szczegółów, później już spopolitowanych, iż w ogóle nie przychodzi na myśl, że ktoś pierwszy je zaobserwował, a będących niepodzielną prawie zdobyczą Balzaka.

Nie znaczy to, aby pieniądz nie odgrywał roli w dawnej literaturze. W iluż komediach Moliera wszystko kręci się koło niego! Ale dotąd był on abstrakcją — „złotem“. Tu mamy pieniądz w całym drobiazgowym realizmie jego materiału, jego powstawania, krążenia. Pieniądz bankiera, lichwiarza, rolnika, aferzysty, kupca — tysiąc sposobów zdobywania go, tysiąc sposobów wydawania. Pieniądz to Nucingen i Rastignac, i Gobseck, i pan de La Baudraye z *Muzy z zaścianka*, i stary Grandet...

Ile stanów, ile odcieni! Dwaj starzy „pocziwcy“: eks-jakobin Goriot, spekulujący niegdyś na żywności, i wierny rojalista Ragon, właściciel handlu perfumami; następca Ragona, Birotteau, ginący typ skromnego jeszcze mieszczaństwa, wzrosłego w dawnych tradycjach, i następca Cezara Birotteau, parweniusz Crevel (*Kuzynka Bietka*), symbol nadętego i tryumfującego mieszczaństwa z epoki Ludwika Filipa. Armia Napoleona, od bohaterów do szumowin (*Kawalerskie gospodarstwo*), a jak mistrzowsko narysowane przejścia od jednych do drugich, zwykle w jednej i tej samej osobie! Toż samo wszystkie profesje, zawody, stany: artyści, finanse, polityka, arystokracja. Do dziś — mimo iż Zola w swoich „Rougon-Macquart“ podjął niejako unowocześnienie dzieła Balzaka, mimo iż na swój sposób natchnęli się duchem Balzaka Galsworthy w swoich „Forsytach“, Proust, Jules Romains wreszcie w „Ludziach dobrej woli“ — nie ma lepszego niż Balzac przewodnika w wielkiej dżungli życia!

Ten człowiek o wzroku czarownika widzi w każdym najdrobniejszym fakcie nieskończone perspektywy uogólnień, zależności. Widzi związki pomiędzy upadkiem Napoleona a przesileniem w szmuklerstwie; między szczęśliwą miłością a wzrostem rachunku praczki. Nic go nie omami, nie gardzi żadnym płaskim na pozór szczegółem.

Tak jak w pierwszym swoim utworze, *Szuana*ch, wprowadził Balzac w powieść topografię, tak i całą *Komedie ludzką* uczyni żywą

geografią Francji. Nie mówiąc o Paryżu, z którego stworzy cały poemat, każde z jego opowiadań rozgrywających się na prowincji aż pachnie prawdą lokalną. Każdą podróż, każde wytchnienie wyzyskuje Balzac na to, aby utrwalić w mózgu obrazy, które będą tłem jego powieści. Jeździ, notuje, wywiadytuje się, gwarzy z ludźmi, pyta o ceny wszystkiego. Posiada sztukę odcyfrowywania życia przedmiotów. Bo to nie zwykła obserwacja realisty — to intuicja poety.

Jak żywo oddana jest na przykład w *Dwóch poetach* (*Stracone złudzenia*) psychologia wyżniego i niżniego miasta Angoulême; ileż koloru zyskuje pod jego piórem opis „La Grenadière” koło Tours albo czar brzegów Loary i Charente! Balzac był może pierwszy, który odkrył urodę Francji, przeciwstawiając ją owej Italii, która w epoce romantyzmu posiadała, obok Szwajcarii, monopol na piękności przyrody. Każda powieść Balzaka znajduje dla siebie ramę w jakimś jego wspomnieniu: ta lub inna miejscowość we Francji — dom lub ulica, jeżeli chodzi o Paryż — opisane są jakże sugestywnie, współżyją wręcz z bohaterami. Aby stwierdzić, do jakiego stopnia ta geografia literacka była wynalazkiem Balzaka, wystarczy porównać jego utwory z jakąkolwiek powieścią przedbalzackowską. Weźmy na przykład „Adolfa”, którego akcja toczy się kolejno w Niemczech, w Czechach, w Polsce, bez śladu jakiegokolwiek kolorytu lokalnego. Troskę swoją o prawdę posuwał Balzac tak daleko, że dobór nazwisk jego bohaterów był dlań przedmiotem długich refleksji i poszukiwań. Czasem na szyldzie jakiegoś sklepu znajdował nazwisko, na które długo bezskutecznie polował (Z. Marcas).

Mimo że nigdy prawie nie portretował z rzeczywistości, ale zawsze tworzył figury swoje syntetycznie, każdy prawie znajomy mimo woli pozował mu do jego dzieła, poczynając od owej księżnej de Castries, która posłużyła mu za model do niejednej arystokratycznej damy.

W przedmowie swojej do *Komedii ludzkiej* Balzac porównywa różne gatunki człowieka społecznego, klasyfikowane wedle zawodu, zajęcia, trybu życia, z zoologicznymi gatunkami zwierząt. Warunki życia określają dlań niemal despotycznie charakter człowieka. To ujęcie człowieka i jego wartości duchowych, moralnych, etycznych na tle ekonomicznym czyni Balzaka zwiastunem „materialistycznego światopoglądu” Marksa, który też, mimo zasadniczych różnic w kon-

kluzjach, uwielbiał Balzaka i zamierzał po ukończeniu „Kapitału“ napisać studium o nim. Współtwórca socjalizmu, Engels, powiada, że „więcej się nauczył od Balzaka, nawet co się tyczy szczegółów ekonomicznych, niż od któregośkolwiek ze statystyków, historyków i ekonomistów jego epoki“. A dziś w oświeceniu ewolucji czasów wydaje się, że ten na wskroś burżuazyjny pisarz jest, nieraz mimo swej wiedzy i woli, jednym z najprzenikliwszych krytyków i satyryków kapitalistycznego ustroju. I tak każda epoka znajduje w Balzaku co innego, i każda coś dla siebie. Dawniej był pisarzem kobiet, dziś jest pisarzem mężczyzn.

Pieniądz jest tedy *genius loci Komedii ludzkiej*. Ale pieniądz to ostatecznie środek, narzędzie. Dwie prawdziwe dźwignie nowoczesnego świata to inteligencja i wola. Dzieło Balzaka kipi inteligencją, jej odmianami: od inteligencji uczonego, zmagającego się ze swą myślą na zimnym poddaszu, aż do inteligencji zbrodniarza idącego na przełaj poprzez prawa i bariery społeczne. Można by rzec, że czasem aż za wiele tej inteligencji spala się w jego eposie, że zbyt hojnie obdzielił swoje społeczeństwo bogactwem własnego mózgu. Myśl przenika u niego wszystko, wyziera ku nam z każdej fizjonomii, z każdego sprzętu. Oglądane pod pewnym kątem, dzieło Balzaka nabiera jakby mitologicznego charakteru, stwarza większe i mniejsze, dobre i złe bóstwa, personifikujące każdy rys życia społecznego, jak Grecy stwarzali je dla każdej rzeki i dla każdego źródła.

A świat ambicji w iluż wyraża się egzemplarzach, a każdy jakże odmienny! Od wielkiej ambicji do małych próżnostek, śmiesznych dla widza, ale dla pacjenta tragicznych i bolesnych. A świat kobiet! — i tu znowuż wszystkie pozycje, wieki, stany.

Miłość nawet u Balzaka nie jest nigdy czymś wyosobnionym, ale głęboko zrośnięta jest z tysiącem względów społecznych, towarzyskich, finansowych. Z jednego przedmiotu powieści Balzac, widząc w niej potężną dźwignię, sprowadza ją do arcyważnej, ale nie tak ekskluzywnej roli, do tej, jaką w istocie odgrywa w społeczeństwie. Wyzbywa się ona swej mniemanej wyłączności; jest najściślej związana z całokształtem nowoczesnego życia, jego walk, matactw i próżności. Miłość aż nazbyt często z celu staje się środkiem. Bo nieraz to, co w świecie ma obieg pod mianem miłości, to tylko gruby i mniej lub

więcej zanieczyszczony aliaż. Ten świat uczuć mieszanych, złożonych, jest światem, który Balzac maluje z niezrównanym mistrzostwem i prawdą, a nieustanna gra tych elementów — zmysłów, próżności i pieniądza — występujących we wszystkich kombinacjach i splatających się wciąż niby w ironiczne triolety, nadaje dziełu jemu tylko właściwy i szczególnie niepokojący charakter. To nowe, tak przeciwne koncepcji romantycznej, ujęcie miłości było w literaturze jednym z najbardziej rewolucyjnych czynów. Ba, czasem — to może najwyższy jego tryumf jako powieściopisarza — odważa się zupełnie prawie usunąć ją z powieści (*Cezar Birotteau*).

Jedną z cech balzakowskiego ujęcia świata jest to, że nigdy prawie powieść jego nie rozgrywa się wyłącznie na jednym terenie. Prawie zawsze daje on przekrój społeczny od szczytów do nizin, daje związki i zależności faktów, których to związków w życiu zwykle nie widzimy, ale które niemniej istnieją. A dzięki wspaniałej wyobraźni tego poety — bo Balzac był przede wszystkim wielkim poetą — ten jego świat rozsnuwa się — nie tracąc ani na chwilę realnego gruntu pod nogami — w horyzonty czarodziejskiej baśni. Losy młodego Lucjana de Rubempré (*Stracone złudzenia, Blaski i nędze życia kurtyzany* etc.) stają się punktem, z którego Balzac otwiera nam perspektywy na świat przywileju i bogactwa i na świat zbrodni i nędzy, na świat myśli i na świat miłości, aż wreszcie w pamięci naszej historia owa urzeka nas głębią udratyzowanego odwiecznego mitu o pakcie szatana z człowiekiem...

Z tego odrębnego charakteru dzieła Balzaka wynika i stosunek jego do czytelnika. Trzeba to wciąż pamiętać: dzieło Balzaka poczęło się w jego mózgu jako całość i jako całość jest skomponowane. Każdy utwór — nieraz parotomowa powieść — jest jedną z grup olbrzymiej płaskorzeźby, która przedstawia kłębiecie się i zmaganie rodzącej się współczesności: ludzi, spraw i idei. Niejeden utwór, brany jako pojedyncze opowiadanie, może wskutek tego razić brakiem proporcji; szerokość ram, wstępne wywody, drobiazgowość opisy rozsadzają nieraz fabułę (typowy przykład: wspaniały opis „kręgów Paryża“ z początku *Dziewczyny o złotych oczach*, zbyt techniczny jako wstęp do tej „noweli“ i jakby skądinąd wzięty, ale jakże potrzebny dla całej *Komedii ludzkiej!*). Kiedy jednak cierpliwie, rys po rysie,

tom po tomie, czytelnik przyswoi sobie bodaj główne ogniwa *Komedii ludzkiej*¹, kiedy żyje się z tym światem nie mającym równego sobie w literaturze, a następnie oddaliwszy się nieco ogarnia myślą tę potężną całość, wówczas zrozumie wszystko i, wróciwszy na nowo do Balzaka, z nowym pogłębieniem i rozkoszą zacznie się weń wczytywać. Są ludzie, którzy tak wciąż czytają Balzaka w kółko. Odkrywa się wtedy nowe związki, szczegóły, które wprzód uszły uwagi; wszedłszy w ten świat trudno pogodzić się z innym. „Konsekwentne studiowanie Balzaka — powiada Oskar Wilde — zmienia naszych przyjaciół w cienie, znajomych w cienie cieniów...”

Komedia ludzka obejmuje 97 utworów, tworzących blisko jednoście tysięcy bitych stron wielkiego wydania. W stosunku do planu autora nie była to ani trzecia część. Zachowało się blisko pięćdziesiąt tytułów dzieł, których nie zdążył napisać. Interesujące jest, że na 26 tytułów, jakie przechowały się ze *Scen z życia wojskowego*, zrealizował Balzac tylko dwa, reszta pozostała w sferze zamierzeń. Ilość figur, które stworzył, skatalogowanych we wspomnianym już skorowidzu, wynosi przeszło 2 000. A skorowidz ten nie obejmuje utworów z epoki młodzieńczej, które nie weszły w skład *Komedii ludzkiej*.

Jeżeli zważymy, że Balzac późno stosunkowo zaczął pisać *n a p r a w d e*, a wcześniej wyczerpał nie talent, ale zdrowie, ogrom tego dzieła jest zdumiewający; bardziej jeszcze musimy mu się zdumiewać, jeśli zważymy gęstość, ciężar gatunkowy dzieła, świat myśli w nim zawartych; jeśli zważymy trud i poczucie odpowiedzialności pi-

¹ Niejednokrotnie zdarza się spotkać z pytaniami, w jakiej kolejności należy czytać *Komedie ludzką*. Otóż trzeba zauważyć, że nie wszystkie jej człony są jednakowo ściśle i organicznie spójne. Główny człon stanowi cykl, na który składają się: *Goriot*, trylogia: *Stracone złudzenia*, *Blaski i nędze życia kurtyzany*, *Ostatnie wcielenie Vautrina*; w tych powieściach spotyka się większość figur świata balzakowskiego i od tego cyklu najlepiej jest też zacząć. Inne powieści wiążą się z nim mniej lub więcej ściśle: np. *Kobieta porzucona* zawiera dalsze koleje pani de Beauséant z *Ojca Goriot*; *Córka Ewy* — historię Natana; *Sekrety księżnej de Cadignan* — d'Artheza, *Gabinet starożytności* ukazuje nam tę samą księżnę de Cadignan w kwiecie młodości etc. Inne wreszcie łączą się z całością jedynie przez swą zawartość myślową, nie zaś przez postacie swoich bohaterów.

sarskiej. Wówczas ocenimy tę straszliwą pracę, która dosłownie pochłoneła życie pisarza.

W powieści Balzaka *Jaszczur* znajduje się głęboki symbol: czarodziejska skóra, która się kurczy za każdym wyrażonym pragnieniem; a kurczenie się jej — to ubywanie życia. Taka skóra jaszczura widniała nieustannie oczom Balzaka: każdą zdobycz pisarską, wyrwaną z siebie ze straszliwym wysiłkiem pod wpływem środków podniecających, opłacał ceną życia i wiedział o tym. W tym jest wielkość.

Wróćmy do owego pamiętnego roku 1834. Balzac przybył z Genewy do Paryża, ożywiony nowymi siłami do pracy i walki. Do bodźca, jaki znajdował w samym ogromie swych twórczych zamierzeń, przybyła nowa pobudka: stać się wolnym, bogatym, wielkim — dla Niej. Ale droga była ciężka. *Lekarz wiejski*, na którego sukces tak liczył, zawiódł zupełnie. Powieść zaskoczyła krytykę jako coś mącącego pojęcie o Balzaku Olbrzymie powodzenie zyskał jedynie rozdział zatytułowany: *Historia Napoleona opowiedziana w stodole*, ale tę przedrukował księgarz bezprawnie i osobno, aby ją w ogromnej ilości egzemplarzy rzucić na rynek nie płacąc autorowi ani grosza. W ogóle dla zrozumienia kłopotów finansowych Balzaka trzeba objaśnić, że stosunki księgarskie były wówczas bardzo nieuregulowane; np. w Belgii można było tuż po ukazaniu się każdej paryskiej nowości zrobić jej przedruk i po tańszej cenie, nie płacąc autorowi ani grosza, puszczać ją na Europę. Ale równocześnie z tym szamotaniem z lichwiarzami, z tym grożącym bez ustanku więzieniem za długi — bo było wówczas więzienie za długi, i *Komedia ludzka* zawiera mnóstwo dramatycznych i komicznych sytuacji z nim związanych — olśniewa Balzac w listach swoją Ewę oszałamiającymi zarobkami, jakimi nie mógł się poszczycić żaden pisarz; wówczas, na przykład, za zbiorowe wydanie dotychczasowych utworów ofiarowano mu 27 000 franków!

Oddaje się tedy całej pracy, oddalając od siebie pokusę pognania do Włoch, które zwiedza pani Ewa. Wydaje w r. 1834 *Dziewczynę o złotych oczach*, *Księżnę de Langeais*, *Serafitę*, *Poszukiwanie abso-lutu*, ostatnie części *Kobiety trzydziestoletniej*, i w końcu może największe swoje arcydzieło — *Ojca Goriot*. Cóż za rok!

Ojciec Goriot to książka, która sama jedna wystarczyłaby, aby zapewnić nieśmiertelność swemu twórcy — wspaniała wizja Paryża, odnowiony i sprowadzony na ziemię mit kusiciela „szatana” — to, przez bogactwo myśli, przez napięcie dramatyczne, centralna grupa wielkiego fresku *Komedii ludzkiej*.

Czy ten ogrom prac potrafił spędzić dąs z twarzy pani Ewy, która daremnie czekała przybycia swego geniusza do Włoch, można wątpić... Powoli, w roku 1835, wracają nasi Polacy całym dworem przez Wiedeń do Wierchowoni, na koniec świata...

Wówczas Balzac rzuca wszystko, pracę, wierzycieli, pędzi do Wiednia, aby ujrzeć jeszcze ukochaną, zanim jego Ewa pograży się w stepy ukraińskie. Straszliwe były wówczas te podróże: do Neufchâtel jechał trzy dni i wracał tyleż, aby spędzić z Ewą trzy dni. Drogę do Wiednia obliczał na dziesięć dni; w Wiedniu miał zostać cztery dni i wrócić. W ciągu tych czterech dni zamierzał — zawsze powieściopisarz i zawsze poszukiwacz *a u t e n t y c z n o ś c i* — zwiedzić pola bitew pod Wagram i pod Essling, potrzebne mu do jego epopei napoleońskiej, której zresztą nie było mu przeznaczone napisać.

Został w Wiedniu trzy tygodnie, zapominając o wszystkim. Nieporozumienia, żale stopiły się we wzajemnej tklivości. Na wyjeźdnym Balzac pisze do ukochanej:

„Nic mnie nie może oderwać od ciebie: ty jesteś moim życiem i moim szczęściem, całą mą nadzieją. Czego mogłabyś się obawiać? Prace moje dowodzą ci mojej miłości; przyjechać tutaj znaczy przełożyć teraźniejszość nad przyszłość. To szaleństwo pijanej miłości; bo, aby zakosztować tej chwili, oddaliłem o wiele miesięcy dzień, w którym sądzisz, że będziemy wolni; wolniejsi, bo wolni... och, nie śmiem myśleć o tym...”

Było to w czerwcu roku 1835. Balzac miał ujrzeć ukochaną aż w lipcu roku 1843.

Czemu tak? To dość proste. Z Paryża do Wierchowoni było wówczas dalej niż dziś od nas do Japonii. Podróż takiej, jaką pani Ewa zrobiła po Europie, też nie powtarzało się tak łatwo. Pozostała zatem — korespondencja. Tej rozłące zawdzięczamy niezrównany komentarz do życia i myśli Balzaka, do *Komedii ludzkiej*: jego *Listy do*

cudzoziemki, dotąd wydane dopiero w części, w trzech ogromnych tomach, z których pierwsze dwa wydano w r. 1906¹, a trzeci wyszedł świeżo (1933). Reszta pozostaje do dziś w rękopisie. Odpowiedzi Ewy na listy Balzaka nie posiadamy, zostały w dość tajemniczych okolicznościach zniszczone.

W listach tych objawia się Balzak nieznany, przynajmniej taki, o jakim nikt nie miał pojęcia w Paryżu, bo ową korespondencję ze swą daleką kasztelanką, jak również jej istnienie, otaczał najgłębszą tajemnicą. Listy pełne adoracji i miłości, zarazem zwierzające się drobiazgowo z prac i zajęć. Tylko —nie trzeba ich pod tym względem brać zupełnie dosłownie...

Bo życie ma swoje prawa. Siedem lat rozłąki, bez żadnej określonej nadziei spotkania i połączenia się, to jest bardzo długo. Stopniowo Balzaka pochłania Paryż, który jest tuż, realny, żarłoczny, gdy tymczasem daleka Cudzoziemka staje się niby błękitnym cieniem. Najlepiej wyrazi to statystyka listów: z roku 1836 mamy ich piętnaście, z r. 1837 czternaście, z 1839 tylko cztery, z roku 1841 pięć... I kto wie, co by się stało, gdyby pewnego dnia, w początkach r. 1842, Balzac nie odebrał listu w żałobnej kopercie. Jego ukochana Ewa, jego narzeczona, została wdową.

¹ Przedtem, w r. 1876, za życia jego wdowy, wydano ogólną korespondencję Balzaka, a w niej część listów do Ewy Hańskiej-Balzakowej, bardzo — jak dziś możemy to stwierdzić — przez odbiorczynię z okazji druku przeinaczonych. Dopiero obecne wydanie (pod redakcją wytrawnego balzakisty, Marcela Bouteron) jest pełne, autentyczne.

Widzieliśmy dwie fizjonomie Balzaka: jedna to ów Balzac z pomnika Rodina — wielki złom marmuru, z którego wyłania się potężna twarz jasnowidza i pogromcy — twórca *Komedii ludzkiej*, w części jedynie rozumiany przez współczesnych i który od śmierci swojej rośnie, by zająć miejsce obok Szekspira i Moliera, obok największych. Drugi to ów Balzac również nie znany współczesnemu Paryżowi, taki, jak go nam ujawniają te pękate listy, słane do Wierchowni. Trzeba nam teraz pokrótce pokazać go takim, jakim go widywali bliscy — na codzień.

Ale i w tym miał różne fazy. Pierwsza — to młody genialny dzikus, którego Paryż oglądał jak osobliwość; lwia głowa, ogromna, choć niewysoka postać wciśnięta w ubranie urągające modzie, w białym z grubego płótna, w grubych niebieskich pończochach i ciężkich podkutych buciorach. Zjawienie się jego w salonie było zawsze niespodzianką, wymowa jego, spojrzenie miały coś hipnotycznego, iskry sypały się z tej butelki lejdejskiej, nabitej geniuszem.

Potem, jak już opisałem, przyszedł okres światowy, dandyzm, uprawiany zresztą nie bez humoru. Balzac, ten człowiek tak straszliwie serio przy pracy, wstawszy od biurka był niby student na wakacjach, bawił się sam i bawił sobą po trosze. Opowiadał o sobie niesłychane historie, fanfaronował, tworzył sam swoją legendę, którą rozpowszechniały potem brukowe dzienniki. Słynna była laska Balzaka która stała się przedmiotem powiastki pani de Girardin pod takim tytułem. Laska ta miała ogromną szczerozłotą rzeźbioną rękojeść, w której wydrażeniu było miejsce „na włosy kochanek“... Mówiono, iż do tej laski był tak przywiązany, że kiedy raz jej gdzieś zapomniał, zemdlał...

Mówiono... mówiono... Czegóż nie mówiono! Nie jedna, ale sto legend! Dość wyrzec słowo: Balzac, aby się znowuż zjawiła w naszej wyobraźni wspaniała głowa oraz postać w białym habicie dominikanina, opasana złotym łańcuchem, ze złotymi nożyczkami u boku: to był jego strój do pracy, w epoce gdy, nawiedzony wizją *Komedii ludzkiej*, nałożył sobie niemal klasztorną regułę życia. W epoce pracy tygodniami nie wychodził z domu: wstawał po północy, pracował do popołudnia. Progu jego strzeżono surowo, a ostrożność ta wynikała nie tylko z obawy przed komornikiem, ale i z absolutnej niechęci do pełnienia służby gwardzisty narodowego — obowiązku, który spadł na obywateli wraz z demokratycznym panowaniem Ludwika Filipa. W oznaczony dzień w miesiącu trzeba było włożyć mundur i stać z karabinem na warcie. Balzac poprzysiągł sobie, że nie podda się temu przymusowi, co naraziło go na konflikty z władzą, raz nawet na trzydniowy areszt. Głównym powodem wyprowadzenia się później poza rogatki Paryża, do posiadłości „Jardies“, była chęć uwolnienia się od służby gwardzisty.

Ale i nieład finansowy, w jakim mimo olbrzymich honorariów pisarz grzęznął całe życie, też był powodem tej surowej klauzury. Aby się doń dostać, trzeba było wymienić skomplikowane hasło. Teofil Gautier — jeden z jego najwierniejszych — opowiada taką wizytę u Balzaka. Odźwiernemu należało powiedzieć: „Nadeszła pora śliwek“, po czym puszczał przez próg; służącemu mówiło się: „Przywożę belgijskie koronki“, na co prowadził przez schody; wreszcie lokajowi: „Pani Bertrand jest zdrowa“ — i dopiero wchodziło się do pokoju pisarza. Oczywiście hasło takie zmieniało się często... i mieszkania również...

Brzmi to jak anegdota; również niektóre rysy Balzakowskich powieści mogłyby się wydać fantazją i zmyśleniem. Technika życia zmieniła się; jak wyglądała w epoce Balzaka, niech posłuży następujący przykład.

Pewnego dnia, gdy Balzac pracował, gospodyni oznajmiła mu, że przywieziono wielką skrzynię pod jego adresem. „Jak oni mnie znaleźli?“ — wykrzyknął Balzac, który, mając nieczyste sumienie wobec obowiązków gwardzisty, starannie się ukrywał. Wysłał gospodynię po informacje. Wróciła z wiadomością, że skrzynia zawiera cenną wazę

etruską, przybyłą z Włoch; że zaś komisjoner objeżdża od trzech dni dzielnicę Paryża, szukając na próżno pana de Balzac, prosi usilnie, aby pisarz był łaskaw sprawdzić stan opakowania i zawartość skrzyni. Balzac-kolekcjoner dał się wziąć: w szlafroku i pantoflach schodzi na ulicę witając z życzliwym uśmiechem doręczyciela skrzyni. Nagle rozlega się za nim krzyk: „Mamy ptaszka!“ — Balzac widzi się otoczony strażą, która przez wyrafinowaną złośliwość nie pozwala mu się nawet przebrać i wlecze go do plugawego aresztu, podczas gdy wóz z rzekomą wagą etruską oddala się szybko...

W epoce pracy Balzac, jakby stworzony przez naturę na żarłoka, poprzestawał na bardzo skromnych posiłkach, a podtrzymywał się ogromnymi dawkami czarnej kawy, której działanie opisał tak plastycznie. Za to kiedy, dokończywszy jakiego utworu, użyczał sobie krótkich wakacji, wówczas biesiady jego — wedle naocznych świadków — można by porównać z ucztą Rabelesowskiego Gargantui. Nie palił i tworzył teorie o fatalnym wpływie tego nałogu na mózg.

Jedną z ulubionych teorii Balzaka była teoria czystości, której jakoby sam ściśle przestrzegał, twierdząc, iż czystość rozwija w najwyższym stopniu władzę myśli i daje człowiekowi osiągnąć wysokiego stopnia uduchowienia. Kiedy mu cytowano (opowiada z humorem Gautier) wielkich geniuszów, którzy nie gardzili rozkoszami ciała, odpowiadał: „Byliby zdziałali o wiele więcej, gdyby się ich wyrzekli“. Spędzić z ukochaną raz na rok pół godziny — oto jedyne ustępstwo, jakie dopuszczał. Zezwalał natomiast wspaniałomyślnie na listy: mówił, że to „wyrabia styl“. Co prawda, te piękne teorie spotykały się u przyjaciół ze sceptycznym uśmiechem; podobno miały one na celu zmylić czujność pani Ewy, która z dalekiej Wierchowni żądała od pisarza rachunku z każdej dochodzącej ją plotki czy pogłoski.

Ten ton pobłażliwej i uśmiechniętej czułości, jakim mówią o Balzaku najbliżsi jego przyjaciele, jest charakterystyczny. Podziwiano, uwielbiano go i — bawiono się nim. Ci, co go znali, szanowali jego szlachetność, wielkoduszność, prawość. Niemniej miał i wrogów. Drażnił ludzi małych, urażał ich ambicje, zrywał maski wielu władcom opinii paryskiej. Nienawidzili go dziennikarze, z którymi porachował się w *Straconych złudzeniach*. W oczach ludzi oficjalnych

szkodziła mu jego prostota wzięcia, jego nieład życiowy, jego wieczna cyganeria, jego długi. Długi były główną przyczyną, że nigdy nie wszedł do Akademii: kiedy, na szczycie wielkości, zgłosił swoją kandydaturę, dostał — dwa głosy, jeden Wiktora Hugo, a drugi jakiegoś niedorajdy, któremu Hugo wyjął kartkę z ręki. Długi unicestwiły może jego ambicję polityczną; w epoce Ludwika Filipa przykład Cezara i jego długów nie trafiał mieszcuchom do przekonania.

Patrząc na dzieło Balzaka, na jego *Komedie ludzką*, można się zdumieć, kiedy on to zdołał napisać, zwłaszcza skoro się wie z jego własnych zwierzeń, jak bardzo musiał walczyć z oporem słowa. Kiedy zdołał poznać, zgłębić tyle światów? Pytano go raz naiwnie, czy on „obserwuje“; odpowiedział z humorem: „Kiedyż miałbym czas obserwować, skoro zaledwie mam czas pisać?“ W istocie, trzeba przypuścić, że obserwacja jego miała charakter wizyjny. Umiał zresztą jak nikt „wypić“ człowieka do dna. Parę godzin, na przykład, spędzonych ze słynnym naczelnikiem policji a niegdyś hersztem zbrodniarzy Vidocqiem dało mu materiał do jego Vautrina. Lecz jakże miżerny wydaje się model przy obrazie!

Ta sama wyobraźnia, która stworzyła tyle dzieł, niepokoiła go w życiu. Ale wszystko to, co w dziele przybiera charakter potęgi i grozy, w życiu Balzaka wyrażało się dobrodusznie, niemal dziecinnie. Treścią jednego, na przykład, z najbardziej fantastycznych jego cyklów (*Ferragus*, *Księżna de Langeais*, *Dziewczyna o złotych oczach*) jest tajny związek trzynastu zdeterminowanych na wszystko ludzi, bez względu na różnicę sfer, od salonów aż do galer, związanych na śmierć i życie, pomagających sobie wzajem we wszystkim, wyzutych ze skrupułu i panujących tajemnie nad Paryżem. Jest w tej szajce i generał, i margrabia, i przyszły minister, i galernik... (Godzi się zaznaczyć, że pomysł był mniej fantastyczny, niż się nam dziś wydaje, i że w epoce napoleońskiej i ponapoleońskiej istnienie takich związków było faktem). Otóż ta rzecz ma zabawny odpowiednik w życiu Balzaka. Marzył o stworzeniu takiego bractwa. Przyjaciół Balzaka, Gozlan, opowiada, jak pisarz zorganizował tajną instytucję „Czerwonych koni“, tak nazwanych od tego, iż schodzili się niby spiskowcy w nędznej oberży „Pod Czerwonym Koniem“. To miała być owa legia sprzysiężonych, z tą różnicą, że nie

chodziło tu o zbrodnię, tylko o bezwzględne a tajne popieranie się wzajem w prasie, w owym tuzinie dziennikarzy i literatów, z trudem wybranych z różnych obozów. Ale łatwiej jest zespolić tuzin chwatów prawdziwą zbrodnią, niż zestroić i sprząć ludzi, których co dnia rozdziela gra drobnych interesów życiowych. Toteż instytucja „Czerwonych koni“ nie przetrwała dłużej niż kilka kolacji. Naiwny geniusz nie wiedział, że związki takie istnieją, i to bez żadnych statutów, instynktownie: są to tworzące się wszędzie ligi ludzi miernych; ale do takiej ligi nie mógł on należeć, choćby nawet chciał... Przez całe jego życie prasa, krytyka tworzyły ligę, ale zjednoczoną przeciw niemu.

Nie mogąc opanować prasy, postanowił stawić jej czoło. Założył pismo, które miał całkowicie wypełniać sam. Pismo miało mówić prawdę, bez kompromisów: można się domyślić, że każdy numer był skandalem! Ale cała prasa odpowiedziała tak bezwzględnym bojkotem pisarza, że mimo początkowego powodzenia „Revue de Paris“ musiała przestać wychodzić.

Dla niecierplivej natury, dla tej żarłocznej wyobraźni, sukces, jaki miał u publiczności, był wciąż za powolny; ogromne honoraria, jakie mu płacili księgarze, nigdy nie wystarczały jego zachceniom, jego nieładowi finansowemu. Toteż wciąż marzył o teatrze jako o trybunie, z której mówi się wprost do tłumów, a przede wszystkim jak o „kopalni złota“. Ale pochłonięty swym prawdziwym dziełem, nie mógł oddać teatrowi duszy; chciał zdobyć sukcesy teatralne niejako lewą ręką. Ta cała teatralna kariera Balzaka też obfituje w zabawne epizody. Nie mając czasu na pisanie sztuk, przybierał sobie współpracowników, i to dwojakiego rodzaju: jednych, którzy mieli wykonywać jego pomysły, drugich znowu, którzy mieli dostarczać jemu pomysłów, jemu, którego głowa poczyniała pomysłów więcej, niż pióro mogło spisać! Jednego z takich współpracowników, literacinę spod ciemnej gwiazdy, zobowiązał się gościć u siebie, żywić, ubierać, opierać, w zamian za prawo do wszystkich płodów jego ducha. Nieborak jadł, pił, spał, ale nie wymyślił nic, mimo iż Balzac, który w myśl swego trybu życia z nocy uczynił dzień roboczy, budził go po kilka razy ze snu, żądając scen komedij czy dramatów... W końcu biedak uciekł, wolał głód i chłód niż tę ciężką służbę.

Jednego dnia (znów opowiada z humorem Gautier) Balzac wezwał go na gwałt do siebie. „Jutro — oświadczył — czytam dyrektorowi teatru wielki dramat w pięciu aktach. Ale ten dramat nie jest napisany. Napiszemy go w ciągu nocy. Sprosiłem was tu czterech; każdy napisze po akcie; ja biorę na siebie piąty: przez dzień i noc można napisać przecież akt dramatu.“ — „Ale — zapytał Gautier — czy masz przynajmniej plan, figury, temat?“ — „Och! — wykrzyknął Balzac, zrozpaczony — jeśli się wdamy w drobiazgi, nigdy nie dojdziemy końca!“

Faktem jest, że pisarz, którego powieści obfitują w tyle scen w najwyższym stopniu dramatycznych, którego zdobycze powieściowe tak bardzo miały oddziaływać na teatr dziewiętnastego wieku, sam nie miał daru scenicznego. Ze wszystkich jego sztuk, jedynie *Mercadet*, wystawiony po jego śmierci, posiadał istotną wartość. Melodramat *Vautrin* zdobył sukces skandalu: zdjęto sztukę ze sceny na rozkaz policji, ponieważ aktor Lemaître, grający tytułową rolę awanturnika, ucharakteryzował się na Ludwika Filipa. Ale kiedy król ofiarował Balzakowi odszkodowanie za stratę, jaką poniósł, pisarz nie przyjął.

Oryginalny był sposób, w jaki Balzac chciał zapewnić powodzenie jednej ze swoich sztuk. Zajął w kasie miejsce kasjerki i odmawiał wszystkim biletów, oświadczając, że właśnie ostatnią łóżkę wzięły księżna V..., margrabina Y... etc. Zrazu sztuczka się udała, rozbijano się o bilety, ofiarowywano ogromne sumy; ale kiedy ustaliła się wiadomość, że na dziesięć pierwszych przedstawień bilety są już rozebrane, zrezygnowano ze starań. I w dzień premiery sala była prawie pusta...

Później, po śmierci Balzaka, próbowano przerabiać jego utwory dla sceny. Ale bez powodzenia. Brak jest na scenie owego wielkiego monologu Balzaka, jakim on wciąż komentuje, demonstruje, potężnie naświetała swoje figury. Zostają cienie, latarnia czarnoksiężska bez czarownika.

To samo w kinie. Bo dziś Balzac wszedł do kina. Oglądając jakiś film balzakowski dumałem sobie, że też on tego nie dożył, on, na którym wynalazek fotografii przez Daguerre'a uczynił wstrząsające wrażenie i nasunął mu tak głębokie refleksje. Tu były z pewnością w swoim żywiole: improwizowałby scenariuszów ile dusza zapra-

gnie! Ale z powieści jego, wyświetlanych w kinie, też niewiele zostaje. Żaden obraz tak nie stworzy tła, jak on je umiał stworzyć słowami. A cała potężna gra myśli, cały ładunek inteligencji — wszystko to nie chwyta się ekranu. Można powiedzieć, że najlepiej nadaje się dla kina to, co w dziele Balzaka jest najsłabsze.

Teatr był tylko jednym z „przedsięwzięć” Balzaka, ale w głowie jego wciąż roją się nowe. Obraca tyłoma milionami na papierze, że całkiem naturalną drogą chce je przenieść w życie, ile że dla niego rzeczywistość i urojenie nigdy nie były rozgraniczone zbyt ostrą linią. Robi się w wyobraźni wynalazcą, wielkim spekulantem etc. Gdzie spojrzy, widzi miliony. W czasie podróży na Ukrainę projektuje natychmiast po przybyciu wielki interes na sprowadzeniu ukraińskich dębów do Francji: kalkuluje co do grosza wszystko, prowadzi korespondencję z fachowcami; rzecz okazuje się nierealna, ponieważ konieczność dwukrotnego przeładowywania czyni transport zbyt kosztownym. Jednego dnia dochodzi z urywku jakiejś rozmowy do wniosku, że muszą istnieć na Sardynii kopalnie srebra nie wyczerpane do dna przed dwoma tysiącami lat przez Rzymian: z dnia na dzień puszcza się na Sardinie z zamiarem uruchomienia tego interesu... Traci trzy miesiące drogiego czasu i sporo gotówki, aby się przekonać, że myśl jego pochwycił już kto inny. Bo trzeba dodać, że pomysły Balzaka były najczęściej trafne i że ktoś inny robił na nich majątek (tak było np. z owymi nieszczęsnymi taniami klasycznymi).

Namiętność budowania, zmieniania mieszkań i urządzania ich to też była jedna z jego kosztownych manii. Słynne były dzieje jego willi „Les Jardies” zbudowanej opodal Paryża na gruncie tak gliniastym i pochyłym, iż trzy lata, które Balzac tam spędził, były nieustanną walką z osuwaniem się murów, nie mówiąc o... braku schodów, których zapomniano w planie. Kiedy otyły pisarz chciał stanąć na ścieżce w ogrodzie, musiał robić z kamieni podpórki pod nogi. Jednego dnia cały mur otaczający posiadłość zwałił się dla braku fundamentów, których architekt nie uważał za stosowne położyć. Tegoż dnia odrzucono Balzakowi sztukę, którą złożył w teatrze: z wściekłości i rozpaczry rzucił rękopis do ognia.

Z wszystkich tych anegdot, które można by mnożyć, bije jedno:

niespożyta energia i czynność wyobraźni. To zarazem jeden z najciekawszych przyczynków do psychologii geniuszu. Dominującym uczuciem, jakie rodzi ta biografia anegdotyczna, jest wrażenie dziecka, którym jest ten genialny pisarz, jeden z najgłębszych, najdojrzałych historyków życia, twórca dzieła o olbrzymiej wadze i powadze. Dzieckiem jest w swoich naiwnościach, zapałach i zawodach, dzieckiem w swojej niecierpliwości i furii życia, dzieckiem w żywości swoich pragnień i złudzeń. Owo coś dzieciennego, dobrodusznego, co jest w Balzaku, czyni go nam nad wyraz sympatycznym; ale kiedy znów z innej strony spojrzeć na tę egzystencję, kiedy ujrzymy tego męczennika swego geniuszu, nie wstającego tygodniami po kilkanaście godzin od biurka, skracającego świadomie swoje dni po to, aby wydać z siebie własną wizję świata, wówczas życie to przerazi nas nagle intensywnością swej halucynacji.

Żadnego może z pisarzy tej miary — a miara to najwyższa! — nie znamy tak blisko, tak poufale jak Balzaka. O Szekspirze nie wiemy prawie nic; po Molierze nie zostało nam ani jednego dokumentu, ani jednego świątka jego ręki. Balzac jest stosunkowo blisko nas: jego bogata i szczodra natura kipiała na wszystkie strony, przelewała się poza brzegi. Możemy go obejść dookoła, znamy dzień po dniu niemal jego życie, znamy go w szlafroku, przy biurku, przy stole... I rzecz dziwna, ten człowiek tak prosty, tak poufale pozwalający do siebie przystępu, pozostaje wszakże mimo tego zbliżenia wielką tajemnicą, ma w sobie coś z żywiołu...

W liście swoim do księżnej d'Abrantès, w r. 1828, Balzac pisze: „Studiuję samego siebie jakby ktoś obcego. Same sprzeczności. Kto by sądził, że jestem próżny, marnotrawny, uparty, lekkomyślny, niekonsekwentny, zarozumiały, niedbały, leniwy, roztrzepany, bez głowy, bez cienia wytrwałości, gadatliwy, bez taktu, źle wychowany, niegrzeczny, zgryźliwy, nierówny — będzie miał tyleż racji co ten, kto by powiedział, że jestem oszczędny, skromny, wytrwały, energiczny, pracowity, stały, milczący, subtelny, uprzejmy, wesoły, równy. Dochodzę w końcu do wniosku, że jestem jedynie instrumentem, na którym grają okoliczności. Czy ten kalejdoskop pochodzi stąd, że w duszę tych, którzy siłą się malować wszystkie uczucia i całe serce ludzkie, los wkłada wszystkie te uczucia, iżby mogli siłą wyobraźni

odczuwać to, co malują? Byłaby obserwacja jedynie rodzajem pamięci wspomagającej tę ruchliwą wyobraźnię? Zaczynam w to wierzyć.“

Tak, Balzac to cały świat. Jest w tym człowieku wszystko: wielki poeta i wielki realista, mistyk i szarlatan, subtelność i rubasność, asceta i gargantuiczny temperament. I takim zapewne trzeba było być, aby móc napisać prawdziwą *Komedie ludzką*. Jak jego dzieło tak i on sam jest jedną z najpełniejszych kolekcji dokumentów ludzkich. I dlatego „nad brzegiem“ Balzaka można bez końca dumać i zapamiętywać się jak nad brzegiem morza, i patrzeć, jak gdyby na grę fal, wciąż zmienną, wciąż nową...

Okres pomiędzy rokiem 1834 a 1843 jest mimo rozproszeń ciągiem nieprzerwanej pracy nad dziełem, które rośnie, potężnieje, wypełnia się. W roku 1835 przybywa *Komedii ludzkiej* (aby wymienić najważniejsze jej człony) *Kontrakt ślubny*, ów żywy komentarz do *Fizjologii małżeństwa*, i *Lilia w dolinie*, w której Balzac stawia pomnik pamięci pani de Berny. W r. 1836: *Kuratela*, *Msza ateusza*, *Gabinet starożytności*, *Facino Cane*, *Stara panna*; w r. 1837 — *Stracone złudzenia*, *Urzędnicy*, *Cezar Birotteau*; w r. 1838 *Blaski i nędze życia kurtyzany*, *Bank Nucingena*, *Córka Ewy*; w r. 1839 *Proboszcz wiejski*, *Beatrix*, *Sekrety księżnej de Cadignan*, *Małe niedole pożycia małżeńskiego*; w r. 1840 *Piotrusia*, *Król cyganerii*, *Muza z zaścianka*; w r. 1841 *Ciemna sprawa*, *Kawalerskie gospodarstwo*, *Urszula Mirouet*, *Fatszywa kochanka*, *Pamiętnik nowożeńców*; w r. 1842 *Pierwsze kroki*, *Albert Savarus*, przedmowa do pierwszego zbiorowego wydania *Komedii ludzkiej*.

W przedmowie owej Balzac daje wybitnie przyrodniczy komentarz do swego dzieła. Biorąc za punkt wyjścia spór naukowy między Cuvierem a Geoffroy Saint-Hilaire, pisze:

„Czyż społeczeństwo nie tworzy z człowieka — zależnie od środowisk, w których rozwija się jego życie — tyluż odmiennych ludzi, ile jest odmian w zoologii? Różnice między żołnierzem, robotnikiem, urzędnikiem, adwokatem, próżniakiem, uczonym, mężem stanu, kupcem, marynarzem, poetą, nędzarzem, księdzem są, chociaż trudniejsze do uchwycenia, równie znaczne jak te, które różnią wzajem wilka, lwa, osła, kruką, rekina... Ale natura stworzyła dla odmian zwierzęcych granice, w których społeczeństwo się nie mieści. Kiedy

Buffon odmalował lwa, kończył lwicę w kilku zdaniach; w społeczeństwie zaś samica nie zawsze jest żoną samca...

Dziś rzeczy te wydają się aż nadto proste; ale w epoce Balzaka były odkryciem. Przed nim literatura знаła człowieka, знаła wreszcie typy, ale dopiero Balzac odkrył i uświadomił sobie społeczeństwo. Aby to zrozumieć, wystarczy porównać jego powieści z którąkolwiek z wybitnych powieści jego wielkich poprzedników, bodaj z „Nową Heloizą“ Russa.

W dalszym ciągu przedmowy Balzac korzysta ze sposobności, aby się rozprawić z zarzutem, którego mu oczywiście nie szczędzono. Jak go nie szczędzono żadnemu z uczciwych pisarzy: niemoralności.

„Ktokolwiek przynosi swoją cegiełkę do gmachu myśli, ktokolwiek wskazuje nadużycie, ktokolwiek piętnuje zło, iżby je usunięto, uchodzi zawsze za człowieka niemoralnego... Sokrates był niemoralny, Chrystus był niemoralny. Kiedy się chce kogoś ubić, zarzuca mu się niemoralność. Sztuczka ta, zwyczajna ludziom partii, jest hańbą tych, którzy jej używają...”

Mimo iż zwalczany przez złą wolę i złą wiarę, szarpany przez potwarz, Balzac dochodzi w owych latach olbrzymiej sławy, a poza granicami Francji, w Europie, nazwisko jego głośniejsze jeszcze jest niż we Francji. W korespondencji swojej często pisarz skarży się na niezrozumienie, nieuznanie, a kiedy się czyta ówczesne krytyki, nieraz tak nieinteligentne i jadowite, widzi się, że gorycz jego nie była urojeniem. Jakiż kontrast z tymi małostkami stanowi każda podróż Balzaka, pobyt jego w Niemczech czy we Włoszech, w Wiedniu czy Petersburgu; to istny pochód tryumfalny, szal entuzjazmu. Bo pomiędzy tą publicznością europejskiej elity a Balzakiem mniej może stały na zawadzie formuły literackie, uprzedzenia, nawyki, które we Francji musiał on dopiero przezwyciężać. Był on pisarzem bardziej europejskim niż francuskim, i kto wie, czy nie zostało tak do dziś.

Bo w tym rdzennym Francuzie są pewne struny, które dość obco dźwięczały jego rodakom. Ta twórczość niesforna geniuszem, nabrzmiała sokami, to rażąca drobiazgowym realizmem, to znów gubiąca się w przestworzach mistyki, ciężka nieraz w wyrazie, gwałciła

ów rasowy klasycyzm, który tkwi na dnie nawet rozwichrzeń francuskiego romantyzmu. Toteż niejeden utwór Balzaka, który we Francji spotkał się raczej z chłodnym zdziwieniem, znalazł entuzjastyczne przyjęcie wśród obcych. Kiedy Balzac był w Wiedniu na koncercie, przecisnął się doń przez tłum jakiś mężczyzna, aby ucałować rękę, która napisała *Serafitę*. W Wenecji arystokratyczne towarzystwo poprzybierało sobie nazwiska bohaterów *Komedii ludzkiej* i przez całą zimę zabawiało się płynącymi stąd aluzjami i dostrajaniem życia do wydarzeń powieści. Mówiono: wiek „balzackowski“, pewien rodzaj fotela nazwano „balzac“. Kiedy Balzac był w Petersburgu i w jednym z salonów oznajmiono jego nazwisko, pokojówka podająca herbatę upuściła tacę z wrażenia. A to samo zrobiłby może... młody Dostojewski, dla którego chciwa lektura Balzaka miała się stać tak płodna.

A w Polsce? Ilekroć zanurzę się w Balzaku, serdecznie bawi mnie uprzytamniać sobie, jaki zamęt w głowach musiały czynić owe to-miki naładowane dynamitem myśli, kiedy za pośrednictwem jakiej francuskiej guwernantki spadały w dworki polskie w latach 1830 — 1840 i dostawały się do rąk młodej lub przekwitającej szlachciancezki! Coś z tych nastrojów odbija się w zabawnych ramotkach Wilkońskiego, gdzie do damulek chowanych na Balzaku zalecają się młodzieńcy wykarmieni w Niemczech na Heglu. Można wnosić, że kult Balzaka był w Polsce dość powierzchowny; czytano go oczywiście po francusku, przekładów Balzaka wówczas prawie że nie było.

Przypadkowo mam w ręku polskie wydawnictwo pod tytułem „Zbieracz umysłowych rozrywek“, z roku 1839, gdzie między innymi znajduje się artykuł „O Balzaku i czytających jego romanse“. Zaczyna się tak:

„Nie za naszych czasów dopiero skażenie obyczajów doszło już wysokiego stopnia, szczególnie w wielkich miastach i stolicach. Byli i dawniej nikczemne pisarki, których zamiarem było, przez podstrzyknięcie lubieżnymi obrazami zbestwionej imaginacji, zatruć serca lub rozdrażnić przytępione zmysły. — Była to literatura osobna, literatura miejsc bezecnych, przeznaczona dla podłych kobiet tam mieszkających i mężczyzn, którzy do nich uczęszczali. — Gdyby dzi-

siaj jaki bezwstydnym żartowniś wziął które z tych dzieł i umiał zrećznie je udać za nowy romans jakiego Balzaka, George Sanda itp., niejedna z czytelniczek modnej literatury nie domyśliłaby się krwawego żartu, który by z niej zrobiono.“

Bardzo jest pouczające czasem przeczytać takie rozważania moralne... sprzed lat stu.

Ale wróćmy do Francji i do rozdźwięków, jakie istniały między Balzakiem a jego epoką. Był „powieściopisarzem“ — tylko powieściopisarzem — tak jak dla swoich współczesnych Molier był tylko komediopisarzem. Bo powieść dopiero od Balzaka i dzięki niemu wysunie się na czoło twórczości literackiej: wówczas gdy on brał pióro do ręki, był to rodzaj podrzędny. Daremnie Balzac ogarnia w swoich powieściach najszersze horyzonty historyczne, społeczne, filozoficzne, moralne; dla ogółu był on wciąż „najpłodniejszym z romansopisarzy“ (Balzac wściekał się o ten przydomek, dawany mu potocznie w prasie), rywalizującym co do popularności z Suem lub Dumasem.

Tak samo jako myśliciel przeciwstawiał się Balzac swojej epoce. W dobie upojenia hasłami równości, wolności, postępu, Balzac nie podziela tych zapałów: widzi hegemonię mierności, rozpetanie ambicji dążących prostą czy krzywą drogą do prywatnych celów, brutalne władztwo pieniądza. Dziś, w chwili zmierzchu wielu idei i złudzeń, którymi karmił się wiek dziewiętnasty, lektura Balzaka może być szczególnie zastanawiająca. Ale dar jego obserwacji działał często mimo niego i na wspak jego poglądom: jak wspomniałem, trudno o gwałtowniejszą satyrę na arystokrację i złośliwszą karykaturę mieszczaństwa, niż je zostawił ten pisarz arystokratyczny z przekonania, a burżuazyjny z przynależności.

Bądź co bądź, mimo że nie dość oceniony przez jednych, namiętnie zwalczany przez drugich, miał Balzac i w Paryżu grono osób prawdziwie mu oddanych. Kiedy oderwawszy się od pracy zjawi się u pani de Girardin, pisarki i żony „króla prasy“, Emila de Girardin, w salonie, gdzie zbierały się największe imiona literatury, bytność ta jest prawdziwym świętem. Ale takie święta są rzadkie; sam spis utworów napisanych w owym okresie świadczy, że mniszy tryb życia Balzaka był nie tylko legendą.

Wśród tego wciąż idą do Wierzchowni listy, i jakie listy! W owym czasie inaczej pisano niż dziś. Opłata za listy była wysoka, list wędrował parę tygodni, pisało się całe foliały. Listy Balzaka do Ewy to pamiętnik jego prac, jego życia, z wyjątkiem oczywiście tego, co się nie nadawało do zakomunikowania ukochanej a zbyt długo nieobecnej... Bo jak się okazuje, zbyt długa nieobecność zużywa, niestety, nawet najwytrwalsze uczucie. I tak podziwiać trzeba, że stosunek oparty na niecałych dwóch miesiącach widzenia się — i to w jak trudnych warunkach! — oparł się ośmiu latom rozłąki. Potrzeba tego życia wyobraźnią była widać wrodzona Balzakowi. W latach 1836—1837, kiedy listy Balzaka do Ewy stały się skąpsze, pisarz nawiązuje korespondencję z jeszcze inną nieznaną, ową Luizą, która nigdy mu się nie dała poznać i nigdy nie odsłoniła swego nazwiska, a która (głupia gęś) pisała do Balzaka: „Niech mnie pan kocha tak, jak się kocha Boga!...“ Ale jeśli nieobecność zużyła poniekąd siły jego serca, wszystko zmieniło się z chwilą, gdy otrzymał ów list z czarną obwódką, zwiastujący, że jego Ewa jest wolna. Od tej chwili zmienia się życie Balzaka. Wszystko w nim dzieje się odtąd wyłącznie pod kątem Ewy; połączenie się z nią staje się jedynym celem; miłość, mając przed oczami cel, staje się realniejsza i tym żywsza. Słowem, od czasu owdowienia Ewa jest jedyną i wyłączną biografią Balzaka — aż do końca. Ten związek zasługuje więc, aby mu poświęcić nieco uwagi, zwłaszcza że przez niego wielki pisarz zbliża się do Polski¹, a pośrednio i do Rosji.

Pogląd na ten wzajemny stosunek uległ w ostatnich czasach dość zasadniczej rewizji, od czasu kiedy wyszło na jaw wiele dokumentów, w miarę zwłaszcza jak się pojawia autentyczna korespondencja Balzaka. Przedtem pani Ewa Hańska miała we Francji reputację raczej opłakaną; miała opinię kobiety oschłej, próżnej, niewdzięcznej, która nie umiała serca wielkiego człowieka ani ocenić, ani zrozumieć; która kaprysami swymi zagoryczała mu życie; która odrywając go od prac i wodząc za sobą po Europie, pozbawiła literaturę wielu arcydzieł; która, mimo iż owdowiawszy, wolna i niezależna,

¹ Najobszerniej opracowała tę kartę z życia Balzaka Korwin-Piotrowska w swojej tezie doktorskiej pt. „Balzac et le monde slave“ (1934).

nie zdecydowała się oddać mu ręki aż niemal na łożu śmierci... Taki był akt oskarżenia pani Ewy, który obowiązywał do niedawna.

Ale interesujące jest, że sprawczynią tej fatalnej reputacji stała się właściwie sama pani Ewa, i to... przez sposób, w jaki chciała sobie wznieść piedestał. Przekonałem się o tym świeżo z okazji ukazania się trzeciego tomu *Listów do Cudzoziemki* (1933). Ponieważ część tych listów wydano w r. 1876 za życia pani Ewy Balzakowej i zapewne wedle dostarczonego przez nią skryptu, przyszła mi ochota porównać te dwa teksty, dzisiejszy — niewątpliwie autentyczny — i ów dawniejszy, zatwierdzony niejako przez wdowę. Rezultat był oszołamiający. Wydanie listów z r. 1876 dokonane przez panią Ewę było niewinnym może, ale daleko posuniętym fałszerstwem; ton, charakter stosunku był najzupełniej zmieniony. Mówię tu zwłaszcza o listach z epoki, gdy pani Ewa była wdową i gdy kochankowie uważają się za małżeństwo, czekając jedynie na możliwość połączenia się. Otóż pani Ewa zmienia najzupełniej charakter listów, zastępując poufałe „ty“ i aż nazbyt intymne litanie miłości na ceremonialne „vous“ i ciągle „droga hrabino“; usuwa najstaranniej wszystko, co mogłoby świadczyć, że wielki człowiek posiadał jej wzajemność i że zawdzięczał jej wiele szczęścia; z Balzaka niecierpliwego i wylanego kochanka robi cikliwego i nieśmiałego wzdychacza, korzącego się i wpatrzonego w swoją „gwiazdę“, daleką i niedościgłą. Za pomocą jakich procederów pani Ewa (która w owej porze była przeszło siedemdziesięcioletnią staruszką) osiąga ten rezultat, trudno mi tu tłumaczyć; dość powiedzieć, że posuwa się nie tylko do dowolnego skracania listów i przenoszenia ustępów, ale po prostu przerabia¹ i dopisuje, tam gdzie uważa, że wyraz miłości Balzaka jest nie dość oczyszczony i nie dość wytworny.

¹ Oto parę przykładów. Tekst autentyczny: „Twój list, arcydzieło stylu i miłości“ — tekst pani Ewy: „Pani list, arcydzieło stylu, myśli i erudycji“. Tekst autentyczny: „List, który mi jeszcze raz powiedział, jak ty mnie kochasz“ — tekst pani Ewy: „List nacechowany, jak wszystko co robisz, promienną dobrocią i mądrością“. Wreszcie, tekst autentyczny: „Och, kiciusiu, całuję twoje śliczne powieki, smakuje twoją dobrą szyjkę, która jest niby gniazdko pocałunków, tulę twoje maciupę łapki w moich rękach, wdycham ten zapach, który mnie przywodzi do szaleństwa, i mówię ci, pojąc się w my-

Ale jeżeli robiła to ku swojej chwale, jakże się miała zawieść! Każdy Francuz, każdy wielbiciel Balzaka, czytając te spreparowane listy, musiał się zdumieć, w co ta kobieta, ta Cudzoziemka zmieniła impulsywnego i kipiącego życiem człowieka. Stosunek ich dwojga, w istocie serdeczny i prosty, wydaje się w owych fałszowanych listach upokarzający z jego strony, niewdzięczny i chłodny z jej strony. Co więcej, małżeństwo Balzaka, którego opóźnienie zrozumiałe jest dziś dla znających wszystkie okoliczności, przedstawiać się musiało w świetle tych listów co najmniej dwuznacznie, a pobudki pani Ewy co najmniej zagadkowo.

Jak więc było naprawdę?

Przede wszystkim, jeżeli ma się już o tym mówić, to nie podobna załatwiać się jedną formułą z uczuciem, które trwało przez osiemnaście lat w różnych okolicznościach i które miało różne fazy. Jedną to ta, kiedy Ewa, z rozegzaltowaną główką, pierwszy raz wychyliwszy się wreszcie ze swojej Wierchowni, gdzie, będąc sama prawie dzieckiem, urodziła pięcioro dzieci, poznaje swego tajemniczego korespondenta i wielkiego pisarza. Otwiera się jej oczom nowy świat. Wówczas — wiemy to z listów Balzaka — gotowa byłaby rzucić wszystko, aby lecieć za nim. On musi być rozsądny za dwoje. „Aniele mój, żadnych szaleństw — pisze. — Nie, nie opuszczaj swego palika, biedna, spętana kózko. Twój miły przybiegnie, kiedy zawołasz. Ale przestraszyłaś mnie.“

Bo Balzac nie ma złudzeń co do sytuacji, jaka czekałaby ich w Paryżu: ona, wielka dama, pytająca naiwnie, czy mając pięćset tysięcy franków (ówczesnych) można wyżyć w Paryżu, odtrącona i potę-

ślach tysiącem tych skarbów, z których jeden wystarczyłby, aby wbić w pychę kobietę głupią: o, moja Ewusieńko, moja dusza bardziej jeszcze kocha twoją duszę, i żał mi, że nie mogę pieścić tej duszy, objąć jej, tulić, mieć, tak jak mam twoje czoło, choćby tylko po to, aby być lepszym żyjąc w tobie, w twojej istocie, tak subtelnej, tak doskonałej...”

Cały ten ustęp uskromiła pani Ewa tak: „Ci, którzy panią znają tak jak ja, powinni by dążyć przy pani tylko do jednej rzeczy: Starać się rozumieć i kochać coraz bardziej pani duszę, obcować z nią, choćby po to, aby się stać lepszym, żyjąc w pani istocie, tak subtelnej i tak doskonałej...”

piona przez świat — przy nim, szamocącym się z wierzycielami, przykutym do pracy, potrzebującym swobody ruchu. Jak wyglądają w Paryżu takie związki, pokazał nam w *Muzie z zaścianka*.

Jedzie tedy Ewa do Włoch i czeka. Czeki na próżno; Balzac nie może porzucić swoich prac. Ale później, siedząc samotnie w Wierchowni, Ewa wie, że jednak jeździł to na ową Sycylię, to do Włoch z ową jakąś panią Marboute, przebraną po męsku... i musi się Ewie robić gorzko w duszy.

Zatem po paru tygodniach, które przeszły jak jedna chwila w Wiedniu (jesteśmy w r. 1835), ona wraca do Wierchowni. Może się zawiodła, może się spodziewała, że on jednak ją zatrzyma, że nie pozwoli jej wracać na pustynię, Bóg wie na jak długo. I wciąż idą z Paryża listy, zakochane, płomienne, i wciąż powtarza się ten refren: „Jeszcze kilka tygodni wysiłków, pracy, a będę wolny, wolny dla ciebie“. Ewa zapewne się uśmiecha; już wie, jak trzeba brać te wieczne nadzieje, ile jest realności w tych terminach Balzaka.

Wśród tego raz po raz dochodzą ją o pisarzu najgorsze pogłoski. Już sama prawda wystarczyłaby dla jej otoczenia, mierzącego życie artystów prawdami innego świata; ale do tej prawdy ileż jeszcze dochodzi plotek. Balzac miał — przeważnie wskutek swego nieładu finansowego — fatalną opinię.¹ Wszystko najgorsze sęczy rodzina w ucho pani Hańskiej, chcąc ją ustrzec od tego niebezpiecznego wpływu. Dochodzą ją wciąż nowe wieści o stosunkach miłosnych Balzaka; dochodzą ją nawet wieści, że jest żonaty, że jest hulaką, graczem! Mieszano, jak często się dzieje, autora z jego bohaterami; ubierano go w ich najgorsze uczucia i sprawy. A cóż ona ostatecznie mogła wiedzieć, w owej swojej zapadłej Wierchowni, o nim, o tym Paryżu! Często Ewa wybucha: „Idź, idź do swojej księżnej!“ Trzeba widzieć, jak on się usprawiedliwia! A pamiętajmy wciąż o ów-

¹ Próbkę sądów o Balzaku, jakie krążyły w otoczeniu pani Hańskiej, może dać notatka w dzienniku de Mory-Jezierskiej, która знаła panią Hańską osobiście i żyła w całym owym świecie: „Balzac jest w wielkiej z nią przyjaźnią i dedykuje jej swoje utwory, co przypisują nade wszystko potrzebie czerpania ze szkatuły jej wielce bogatego męża...“ (W. Jezierska „Z życia dworów i zamków na kresach“, Poznań 1924).

czesnych warunkach korespondencji: między pytaniem a odpowiedzią upływały tygodnie, a kiedy przypadkiem jaki list zaginął, wówczas niepodobieństwem prawie było odnaleźć się w nieporozumieniach. Toteż Balzac wciąż na próżno błaga Ewę o numerowanie listów i sam skrzętnie numeruje swoje.

W dodatku to przeświadczenie, że „Francuzi są lekkomyślni“, które Balzac tyle razy zwalcza ze słuszną zresztą irytacją!

„W czym, dlaczego jestem lekkomyślny? — odpowiada jej. — Czy dlatego, że od dwunastu lat siedzę wytrwale nad olbrzymim dziełem?... Czy dlatego, że od dwunastu lat pracuję dniem i nocą, aby się wypłacić z olbrzymiego długu?... Czy dlatego, że mimo tylu niedoli nie otrułem się ani nie strzeliłem sobie w łeb, ani nie skoczyłem w wodę? Wyłumacz mi to. Czy dlatego, że piszę do ciebie wytrwale i niezmiennie?... Czy dlatego, że zachowałem trochę wesołości?... Czy może dlatego, że wiesz wszystko, co się dzieje w mojej biednej egzystencji, w moim biednym mózgu, w moim biednym sercu, w mojej biednej duszy, zbroisz się w moje zwierzenia, aby robić ze mnie innego mnie, którego łajesz, policzkujeś, upominasz i smagasz do woli?“

Nic nie zdoła uspokoić Ewy. Położenie pani Hańskiej w ówczesnej Wierchowni można by po trosze porównać z operową panią Butterfly... Balzac pisał jej przezornie i chytrze: „Uważaj za fałszywe wszystko, czego o mnie nie wiesz wprost ode mnie“; ale ta wrażliwa i inteligentna kobieta nie mogła nie wyczuwać między wierszami jego listów całego innego życia, w którym ona nie ma udziału. Dodajmy wreszcie i to ostatnie: po śmierci męża pani Hańska miała być bogatą wdową: czy owa rzekoma wierność nie mogła być i spekulacją ze strony tego literata, tak mało jej znanego, wciąż grzęznącego w obcych jej i wstrętnych kłopotach pieniężnych?

Oto jakie lata trawiła pani Hańska, a spędziła je — z wyjątkiem jednej zimy w Kijowie — w smutnej Wierchowni.

Do tego listy Balzaka stają się coraz radsze. Raz na kwartał... A kiedy pani Ewa skarży się na to i próbuje odwetu, on pisze jej z oburzeniem:

„Och, jaka mi się wydajesz mała; jak dobrze widać, że jesteś z tego świata! Nie piszesz do mnie, bo moje listy stają się rzadkie!

Więc tak, były rzadkie, bo nie zawsze miałem pieniądze na opłacie portu, a nie chciałem tego powiedzieć! Tak, nędza moja dochodzi do tego stopnia, i jeszcze dalej...”

Tak pisze autor, o którego bajecznych honorariach legendy chodzą po Europie, a list pisany jest w „Les Jardies“, owej posiadłości, którą Balzac „dla oszczędności“ kupił w dobie największych oparów finansowych i w której utopił sto tysięcy! Najteżsi biografowie Balzaka z trudem mogą to zrozumieć, a dopiero kaście to rozumieć zakochanej kobiecie!

Tak więc położenie ich dwojga było nierówne. Dla Balzaka te siedem lat były mimo rozłąki najpełniejsze w jego życiu; dla Ewy były to lata najbardziej puste, beznadziejne. Naraz, w listopadzie r. 1841, umiera pan Hański, zostawia Ewę wdową. Kim jest ta wdowa? Czy ową dawną naiwną korespondentką Balzaka, która przesyłała mu ręką guwernantki kreślone listy pełne anielskich frazesów? Czy ową młodziutką parafianką, która się „przyczepiła jak ostryga“ do wielkiego człowieka? Nie, ta kobieta, którą widzimy teraz, jest inna. Inteligencja jej, bogata z natury, rozwinęła się pod wpływem duchowego obcowania z genialnym pisarzem. Idealna matka, która nieużyte skarby czułości przeniosła na jedyną córkę. Można przypuścić, że w chwili gdy uczuła się wolna, jasnym okiem objęła przeszłość i przyszłość, jak kobieta, która z całą świadomością ma stanowić o swoim losie. Taka pani Hańska wyjechała w jesieni r. 1842 do Petersburga, aby tam pilnować procesu, który, wbrew oczywistej słuszności, wytoczyli jej krewni męża.

Wiadomość o śmierci pana Hańskiego otrzymał Balzac dnia 6 stycznia roku 1842. Wstrząsnęła nim tak, że przez dobę — jak pisze Ewie — trwał niemal bez ruchu. Miał wówczas lat blisko czterdzieści trzy; zmęczony był już mocno latami nadludzkich prac, kilkakrotnych załamań i daremnych wysiłków dla ustalenia egzystencji. Naraz, w momencie gdy walka zdawała mu się beznadziejna, błyska jego oczom ta najpiękniejsza nadzieja: połączenie z ukochaną i — świetna partia. W jednej chwili miłość jego barwi się świeżym rumieńcem. Nie chce wątpić ani na chwilę, żeby się coś mogło zmienić. Myśli tylko o tym, aby jak najspieszniej pognać do stóp ukochanej po nagrodę za tyle lat... niezłomnej wierności.

Ale w niej — jak widzieliśmy — coś jakby się przesiliło. Odzywają się naraz wszystkie wątpliwości, gorycze, które nazbierały się przez owe lata. Odpowiada, że chce się poświęcić cała szczęściu córki, boi się tego okropnego Paryża; wreszcie pisze mu nawet straszne słowa: „Jest pan wolny“. List ten zawinięto w list jednej z ciotek Ewy (zdaje się owej strasliwej ciotki Rozalii Rzewuskiej, która tyle krwi napsuła wielkiemu pisarzowi zniechęcając doń panią Ewę), wymierzony — jak możemy się domyślać — przeciwko Balzakowi. Bo z chwilą śmierci pana Hańskiego cała rodzina jest zaalarmowana, „aby Ewusia nie popełniła szaleństwa“. Ale nieporozumienie nie trwa długo: namiętna wymowa Balzaka zażegnała to wahanie Ewy.

Czemu on sam nie podąży do niej, aby obecnością swoją rozwiązać resztki nieufności? Nie może... Nie mówiąc o własnej jego sytuacji, która broni mu w tej chwili, i to w zimie, tak dalekiej podróży, zjawienie się Balzaka w Petersburgu mogłoby fatalnie uprzedzić wysokie sfery przeciw pani Hańskiej i wpłynąć niekorzystnie na wynik procesu. Trzeba czekać, aż ona sama da mu znać, że może przyjechać. Upływa półtora roku — tak wtedy czas się liczył: dlatego może ludzie tak nawykli wówczas żyć wyobraźnią! Wreszcie, w lipcu r. 1843, Balzac przybywa do Petersburga i bawi tam do sierpnia. Lody stopniały. Znowu wszystkie nieporozumienia stają się w tkliwości, te dwa młode serca odniosły zwycięstwo nad latami rozłąki, nad wszystkim, co je dzieliło i zamącało ich harmonię. W ogóle, ilekroć Balzac rozstaje się z Ewą, opuszcza ją w upojeniu, pod wrażeniem jej dobroci, miłości, oddania. Mamy tego świadectwo w tomach jego listów, niedawno zaś poznaliśmy ten urywek z poufnego dziennika¹ Ewy Hańskiej, kreślony — oczywiście po francusku! — po wyjeździe pisarza z Petersburga:

„Dni i miesiące upłynęły, a ja nie nie pisałam. — Co mówię, nie pisałam! Nie śmiałam nawet otworzyć tej książki, która od tej pory stała mi się jak święta. Ale w dniu moich urodzin, 24 grudnia, chciałam mieć swoje święto: zamknęłam się, uklęknęłam i w ten sposób przeczytałam to, co sławna ręka — ale czym jest dla serca sława? —

¹ Większość dokumentów dotyczących pani Hańskiej zawdzięczamy pracom wytrwałego jej obrońcy, Marcela Bouteron.

to, co ukochana ręka nakreśliła. — Pisał to 2 sierpnia... Ach! jakże ten dzień już jest daleko! A mimo to wciąż jest tuż, wciąż jest obecny, niby gwiazda, którą się widzi nie mogąc jej dosięgnąć, gwiazda, którą wzięłam za godło mego losu.

„Byłam tedy szczęśliwa!... Wiem w końcu, co jest szczęście czyste i bez wyrzutów. Czyż osmielę się kiedy powiedzieć, nawet tutaj, jak bardzo to moje szczęście było ogromne i zupełne? Ale czyż można opisać na zimno, z piórem w ręku, to, co się czuło tak żywo? A gdyby nawet się dało, nie trzeba... Wspomnienie szczęścia kurczy się jak mimoza, rozchylić jego listki można tylko gwałtem.

„A jednak, jak nie mówić o nim w książce, którą przeznaczyłam na to, aby w nią przelewać całą moją duszę?... Jak nie wyrazić wszystkiej wielkości i dobroci, która jest w tym człowieku; wszystkiej wzniosłości i słodyczy, płomiennej inteligencji i młodości serca, świeżej, uroczej, wiosennej! To niezrównane serce nie osłabło w swym biciu od pierwszej chwili wzruszenia. Och, za stara jestem i ciałem, i duszą, aby być kochaną w ten sposób; czuję jak gdyby wstyd, wyrzut... Ileż razy, gdy on mówił i gdy ta cudowna inteligencja służyła za tłumacza żywości jego uczuć, ja, słuchając go z rozkoszą, myślałam smutno, że jestem zbyt szczęśliwa, że jestem niegodna takiego szczęścia... Nie, nie jestem niegodna, skoro je umiem ocenić i skoro jest ono dla mnie czymś ponad wszelką cenę.“

A jednak pomiędzy śmiercią pana Hańskiego a małżeństwem kochanków upłynęło dziewięć lat. Czemuż ta zwłoka, czemuż ta ciągła rozłąka, tak bolesna dla pisarza? Ileż gromów za tę zwłokę rzucili biografowie Balzaka na panią Hańską! Znowuż niezrozumienie epoki i stosunków. Czytajmy korespondencję Balzaka; on to rozumie daleko lepiej niż jego obrońcy. Ubolewa nad tą zwłoką, ale nie wini o nią ukochanej.

Najpierw przyczyną był proces: długi, zawiły proces pani Ewy, w którym przeciwnicy mieli silne plecy w Petersburgu. Ten proces trzeba było wygrać. Następnie trzeba było uzyskać pozwolenie cara na małżeństwo z cudzoziemcem. Car tego pozwolenia odmówił. Jedyną drogą było wydać córkę za mąż, oddać jej majątek, a zapewnić sobie w zamian dożywocie lub rentę. Otóż Anna w chwili śmierci ojca była jeszcze dzieckiem. Chociaż matka była gotowa wydać ją

bardzo młodo, aby urzeczywistnić marzenia Balzaka, wybór zięcia przy tego rodzaju układzie musiał być przedmiotem wielkiej rozważki, gdyż przy nieszczęśliwym wyborze matka narażała się na to, że może być wyzuta ze wszystkiego bez żadnej ochrony prawnej.

Przy tym — interesy samego Balzaka. Czyż mógł on swoją żonę, nawykłą do bogactwa i panowania, narażać na tę niegodną egzystencję, jaką prowadził, ścigany przez komorników, najmujący mieszkanie pod fałszywym nazwiskiem, zasypywany pozwami, zastawiający łyżki w lombardzie i wykupujący je na jeden dzień na przyjęcie gości? Trzeba mu się było oczyścić; tego wymagała jego godność; trzeba było stworzyć Ewie egzystencję godną jej, a tę szacował Balzac bardzo wysoko. („Czterdzieści tysięcy franków rocznie dla nas dwojga to byłoby bardzo niewiele“ — pisze gdzieś do niej). Nad tym pracuje bez wytchnienia, pracuje, jak można wnosić z jego listów, istotnie heroicznie; żyje jak student, odmawia sobie wszystkiego, aby się wypłacić, i — nie może. Długi jego, umorzony po trosze mozolnymi ofiarami, odradzały się jak łeb hydry od jakiejś genialnej spekulacji, od jakiegoś „praktycznego“ pomysłu. Tak upływają lata, po których przychodzi rewolucja roku 1848, odrywająca na dość długo Francję od zainteresowań literackich, wnosząca zamęt w stosunki finansowe i gospodarcze.

Uważając się od czasu Petersburga za poślubionych małżonków, Honoriusz i Ewa godzą się tedy z koniecznością czekania. Trzeba uporządkować kwestie spadkowe, kwestie opieki, administrację olbrzymich dóbr po panu Hańskim, które prawie że nie dają dochodu, bo wszystko tonie w kieszeniach rządców i pośredników. Trzeba uporządkować sprawy Balzaka, przygotować dom, który od tej pory pisarz do spółki z Ewą stroi i zdoła bez ustanku, chcąc z niego zrobić gniazdko komfortu i miłości. W momencie największych kłopotów nie może sobie odmówić, aby nie kupić jakiegoś starego (często fałszowanego) obrazu włoskiego mistrza, jakiegoś kosztownego mebelka.

Ale od tej pory Balzac żyje duchem przy Ewie. Na wpół obojętnie na swą twórczość, na swą sławę. Jest po prostu zmęczony. Daremnie sili się osiągnąć dawną wydajność pracy. Mimo że w pełni

geniuszu, mimo że stworzy jeszcze kilka arcydzieł, wciąż ważniejsza jest dlań każdorazowa ucieczka z Paryża. Nadużył swoich sił, nie ma już dawnej radości tworzenia, została męka dostarczania skryptu wy-ciskanego z siebie pod naporem zobowiązań. Zdrowie jego szwankuje; doświadcza zawrotów głowy, omdleń, lekarze przestrzegają go, nawołują do odpoczynku. Ale jak tu odpocząć, kiedy, za co? Jakże się męczy nad owymi *Chłopami*, których nie miał dokończyć nigdy; jakimi epitetami obrzuca ten bądź co bądź genialny utwór! A jednak geniusz jego nie słabnie; po paru latach, w ciągu których kończy dawne prace lub daje drobne przyczynki do *Komedii ludzkiej*, ostatnie jego wielkie dzieła, stworzone w latach 1846—47, to będą *Kuzynka Bietka* i *Kuzyn Pons*, dwa arcydzieła!

Jednym z bohaterów *Kuzynki Bietki* jest Polak, utalentowany i słaby Wacław Szteinbock. Z punktu widzenia „rasizmu“ można by go kwestionować, bo ten Polak ma więcej krwi skandynawskiej niż słowiańskiej; ale Balzac demonstruje na nim to, co uważa za cechy polskiej natury. Nie pierwszy to i nie jedyny Polak w *Komedii ludzkiej*. Miłość do pani Hańskiej zbliżyła Balzaka z jej rodakami: skazany na rozłąkę z ukochaną, szuka bodaj jej atmosfery, jej świata; chętnie obraca się w Paryżu w towarzystwie polskim, które nieraz bywa na wpół kosmopolityczną arystokracją, dającą przyczynę do mieszania pojęcia Polski i Rosji. Tu i ówdzie znajdujemy w jego listach bardziej interesujące wzmianki, gdy na przykład donosi w r. 1834: „Miałem na obiedzie twego kuzyna Bernarda, Załuskiego i Mickiewicza, którego fizjonomia spodobała mi się bardzo“; a w jednym z następnych listów: „Podziwiałem wspaniałą twarz Mickiewicza, co to za piękna głowa“. To znów, w tym samym mniej więcej okresie, donosi Ewie co następuje:

„Miałem widzieć w tych dniach znakomitego Polaka Wrońskiego, wielkiego matematyka, wielkiego mistyka, wielkiego mechanika, ale który w życiu dopuszcza się nieprawdowości, zwanych przez prawo oszustwem. Rozważane z bliska, postęпки te są skutkiem straszliwej nędzy i geniuszu tak wysokiego, że nie podobna go za to potępiać. Mówią, że to najtęższa głowa w Europie...”

Hoene-Wroński, wzięwszy od Mickiewicza imię, a od majątku pani Hańskiej nazwisko, wejdzie do *Komedii ludzkiej* jako ów

„Adam de Wierchownia“, tajemnicza postać, która zgubi Baltazara Claes zaszczerpiwszy mu namiętność poszukiwania absolutu.

Jest inne opowiadanie Balzaka, którego bohaterami są dwaj Polacy, również emigranci. To *Falszywa kochanka*, i owa heroiczna przyjaźń, walcząca z miłością aż do zaparcia się siebie. Tadeusz Pac, zakochawszy się w żonie swego przyjaciela i dobroczyńcy, rozmyślnie gubi się w jej oczach; ukazuje się jej człowiekiem niegodnym, bez charakteru, aby oddalić miłość Klotyldy od siebie i wrócić ją przyjacielowi. Pierwowzorem Paca był Tadeusz Wyleżyński, krewniak pani Hańskiej, zakochany w niej beznadziejną i wierną miłością. Uderzające jest, że to opowiadanie, mające być w owym cichym bohaterstwie analizą specyficznie polskiego charakteru, znajdzie jak gdyby potwierdzenie w „Przepióreczce“ Żeromskiego, opartej na podobnym motywie.

W owej epoce osiąga Balzac nieco większy porządek w interesach. Ponosi wszystkie ofiary, aby się oczyścić z długów. Żyje sercem. Kocha córkę pani Hańskiej, Annę, interesując się jej małżeństwem, mimo że rady, jakie w tej mierze daje pani Ewie (przynosi je świeżo wydana w r. 1933 korespondencja), są dosyć... oryginalne¹. Na tej rodzinie z wyboru skupia wszystkie swoje uczucia rodzinne, zagoryczone nieporozumieniami z własną matką i siostrą.

¹ Oto co pisze do pani Hańskiej w chwili gdy, jak się zdaje, miała do wyboru między hr. Jerzym Mniszchem a jakimś magnatem śląskim:

„To słowo Anny »cudzoziemiec« martwi mnie. Jeżeli kocha hrabiego Jerzego, wybornie: ale wracam do moich poglądów i powiadam Ci, że dopóki będzie trwał obecny system, przewiduję dla Polski same nieszczęścia. Chcą was zniszczyć za wszelką cenę. Wyjść za Polaka pełnego talentów, patriotyzmu i odwagi to znaczy kupić sobie chlubne nieszczęście i ściągnąć na siebie piorun; to znaczy kuścić denuncjację, to pewna katastrofa. Wyjść za Polaka niezdarę to znaczy strwonić majątek. Bez jakiejś rewolucji, niemożliwej lub nieprawdopodobnej, Kościuszko powiedział prorocze słowo: *Finis Poloniae!* Mówiłem to wszystko hrabiemu namawiając go, aby ocalił majątek przenosząc go za granicę i obierając sobie inną ojczyznę. Im dalej się posuwamy, tym bardziej ta rada jest wskazana. Za dziesięć lat mapa Europy zmieni się z przyczyny Wschodu, Polska stanie się prowincją pruską, brzegi Renu będą francuskie, a Morze Czarne będzie rosyjskim. Zostać Prusakami — to waza najpiękniejsza szansa.

Kiedy młodziutka herytiera zaręczyła się z hr. Mniszchem, Balzac pokochał młodego człowieka całym sercem i nawzajem jest przez tych młodych serdecznie kochany. W r. 1845 spotyka się cała gromadka w Dreźnie; stamtąd wspólna włóczęga po Niemczech, Belgii, Holandii; wreszcie — cóż za radość! — pani Ewa i jej córka, mimo że nie mają pozwolenia cara, wykradną się za paszportem siostry i siostrzenicy Balzaka do Paryża. W tym samym roku jeszcze spotkania w Baden-Baden, w Neapolu, w Rzymie. Każda z tych podróży w towarzystwie ukochanej jest dla Balzaka jednym upojeniem. Wreszcie — wieść pełna radości i niepokoju — przez kilka tygodni żyje Balzac nadzieją zostania ojcem. Przygotowuje się z tej przyczyny wszystko do zawarcia tajnego małżeństwa. Niestety okazało się, że alarm był zbytczesny.

Surowi biografowie Balzaka znów mają za złe Ewie, że te podróże odciągały pisarza od pracy; ależ w stanie, w jakim był wówczas, gdyby nie te chwile szczęścia i wytchnienia, jeszcze wcześniej zapewne padłby ofiarą swego trudu! Jedno tylko można wyczytać z jego listów; mianowicie, jak bardzo drażniły go i krzyżowały jego plany częste zmiany dyspozycyj, jakie otrzymywał. To Ewa każe mu przy-

„Zmienić to mogłaby jedynie rewolucja rosyjska, bo tutaj jesteście spokojni na długo. Ludwik Filip przy swoim zdrowiu będzie żył jeszcze dziesięć lat; mamy za dwanaście milionów robót w kolejach żelaznych, nasz Algier i naszą marynarkę. To zapewnia pokój Europy. Ale potem Francja będzie groźna, bo my jesteście bardzo bogaci, bogatsi niż Anglia, bez paradoksu. Wniosek z tego taki, że źle zrobiłaś, droga, nie obstając za ślązakiem, zwłaszcza jeżeli był bogaty. To więcej warte w położeniu Anny niż wszyscy Jagiellonowie razem. Poddany mieszany to skarb dla niej i dla ciebie. Błagam Cię, rozważ mój pogląd. Jeśli ten szlachcic nie jest wstrętny, jeśli jest bogaty, wróć do tego planu, zostań w Dreźnie i rozważ dobrze moje rady. Są bardzo roztropne, bardzo bezinteresowne. W obecnej sytuacji politycznej ślązak więcej jest wart od Polaka. Nie darują wam nigdy Polaka, a ślązak jest bez zarzutu. To prawie wolność, przynajmniej wolność ruchu. Dix i. Mam dla was w zanadru księcia Bonaparte, syna Lucjana. Ale wobec słowa Cudzoziemiec cofam się. Nie mówię o tym, ale będę krzyczał do ostatniego tchu, że Polak jest najgorszym mężem, jakiego Anna może znaleźć. Można policzyć majątki i głowy, jakie zostały waszemu nieszczęsnemu krajowi, a najgorsze jest być bogatym, bardzo bogatym i zdolnym.“

jechać, to zabrania, burząc mu cały rozkład pracy i wypoczynku. Ale tu trzeba zauważyć to, czego może ona sama nie mogła powiedzieć swemu kochankowi: że on był dla niej chlubną, ale kompromitującą znajomością; że ona była niewolnicą swojej kasty — tej kasty, którą Balzac cenił nade wszystko; że miała córkę na wydaniu, że miasta Europy były wówczas bardzo małymi miasteczkami, a Europa pewnej sfery była bardzo a bardzo plotkarska, i że na przykład mogło się zdarzyć, że Ewa nie pragnęła go widzieć w Dreźnie, przepelnionym wówczas kolonią polską, w której ten francuski literat, quasi-narzeczony pani Hańskiej, był raczej powodem zgorszenia. Gdybyż choć był członkiem Akademii!

Wreszcie, w r. 1846 szesnastoletnia Anna wychodzi za hr. Mniszcha i wraz z mężem udaje się do Wierzchowni. Pani Hańska spędza jakiś czas w Paryżu *incognito*, po czym podąża za córką i zięciem, aby tam młodą parę wprowadzić w zarząd majątku i w gospodarstwo. Tym razem pośpieszy tam za nią i Balzac, zwłaszcza że otworzona właśnie linia kolei żelaznej, łącząca Paryż (z dwiema tylko przerwami) z Krakowem, umożliwia tę daleką podróż. Mamy z niej własną relację Balzaka, ogłoszoną świeżo przez p. Bouteron w „Podróży do Polski“¹, spisaną przez Balzaka dla jednego z pism paryskich, ale wówczas nie spożytkowaną.

Balzac puszcza się w drogę z niesłychaną jak na człowieka tak nadwątłego zdrowia determinacją; cała podróż trwała osiem dni, bez przerwy, dzień i noc, bez rozbierania się. Środki lokomocji to kolej, poczta, ekstrapoczta, dyliżans, bryczka, kibitka, buda. A cóż dopiero kłopoty z walizami, szykany na komorach, rewizje, kradzieże urzędników celnych, bezprawne konfiskaty. Do tego utrapienia gastronomiczne. Co za gospody w tej Polsce! Co za kuchnia: „Mięso jest tu tkaniną z grubych sznurów. Myślisz, że jesz, krajiesz konopie, które ci zostają w zębach“. Takie przykre wspomnienia kulinarne zostawiło mu Gleiwitz — Gliwice.

Za to Kraków sprawił korzystniejsze wrażenie.

„Kościół krakowski wart jest, aby jechać do Krakowa; pełen jest

¹ Opis podróży doprowadzony jest jedynie do momentu przybycia do Wierzchowni. O pobycie tam jak również i w Kijowie dowiadujemy się z listów Balzaka.

kaplic z grobowcami, gdzie nagromadzone bogactwa nie mają nic równego, chyba w Rzymie lub w niektórych kościołach belgijskich. Widzi się srebrne rzeźbione trumny, na których wyobrażono bitwy liczące po osiemset figur, koni i ludzi... Co się tyczy Krakowa, jest to trup stolicy...”

Balzac przejeżdża Galicję w rok po rzezi r. 1846; słyszy skargi ziemian na lekkomyślność paryskiego komitetu, który przeklinają bardziej niż ciemieczków wiedeńskich. „Polacy paryscy — pisze — upajają się mrzonkami, nie wiedzą już nic o swoim kraju; aby galwanizować naród, niczym jest dla nich zaryzykować rzeź sześciu tysięcy obywateli i śmierć sześćdziesięciu tysięcy chłopów, bo trzeba wiedzieć, że sześćdziesiąt tysięcy chłopów zmarło z głodu i chorób w ciągu tej zimy. Nieszczęśnicy ci, którym rząd przyrzekł ziemię i wolność, uważali się wszyscy za bogaczy, żaden nie pracował, ziemia leżała odłogiem i zginęli z nędzy, głodu i tyfusu.”

Znaczna część podróży wypełniona jest uwagami o Żydach polskich, którzy do dziś dnia nie przestają interesować każdego cudzoziemca odwiedzającego Polskę. A Balzac miał ich oglądać w samym ich matczyniku, w Brodach:

„Siódmego dnia podróży wjechałem o piątej rano do Brodów, miasta, które należy w całości do pewnego wołyńskiego szlachcica. Jest to siedziba wielkiego handlu. Nasze więzienia mają weselszy wygląd niż pokoje w oberży mieniącej się Hotelem Rosyjskim: najlepszy hotel w Brodach. Czekałem pięć godzin, aż gospodarz i służba wstaną. Dla mnie podróż zaczynała się dopiero w Brodach: sto mil dzielących Berdyczów od Brodów zdawały mi się trudniejsze do przebycia niż siedemset mil z Paryża.”

Podróżny nasz trafił na święto żydowskie, nikt z nim nie chciał gadać. W końcu gospodarz hotelu poradził mu poczekać na pewnego Żydka, który go dostawi bardzo bezpiecznie (jak mówił) do Berdyczowa... w ciągu tygodnia.

— Ależ ja chcę być w Berdyczowie za dwadzieścia cztery godzin! — „Pretensja ta, dopuszczalna u cara rosyjskiego, wywołała uśmiech mego gospodarza”... Szczęściem, konsul rosyjski i pan de Hackel, głowa celników rosyjskich, byli to ludzie, na których nazwisko Balzaka podziałało magicznie; zrobili co było w ich mocy,

aby ułatwić pisarzowi podróż. Niemniej trzeba było kupić powóz, przy udziale Żydów, którzy mieli zostać właścicielami powozu; ale kiedy się dowiedzieli, że podróżny bierze konie pocztowe, zawahali się: Pocztylioni rosyjscy (oświadczyli) to dzicz, jadą tak szybko, że powóz rozleciałby się w kawałki, zanim by dojechał do Dubna...

Ale wszystko ułatwił pan de Hackel. Nie tylko wyprawił na komorze w Radziwiłowie dla wielkiego pisarza obiadek godny Paryża, ale dał mu wraz z kibitką eskortę do Berdyczowa. To nastroiło Balzaka jak najlepiej. Popędzając izwoszczyka dobrym słowem, pokazując mu kopieiki i pojąc go anyżówką, jeszcze paryską, Balzac wydobywa maksimum szybkości. W miarę jak się zbliża do upragnionego celu, optymizm jego rośnie i formułuje się w refleksjach na temat dobrych stron dyscypliny i ślepego posłuchu. A nawet — pańszczyzny!

„Z Dubna do Annopola, dokąd przybyłem około szóstej wieczór, widziałem jedynie łąny zboża, strzechy płaskie jak tabakierki. Co jakieś pięćdziesiąt wiorst widziałem przy drodze lub na horyzoncie jedną z owych rezydencji rzadkich, ale wspaniałych, otoczonych parkiem i błyszczących z dala miedzianym dachem. Ale co za różnica z Galicją! Wszędzie gromadki chłopów i wieśniaczków idących do pracy lub wracających z pracy, wesoło, swobodnym krokiem, prawie wszyscy śpiewają. Z pewnością nikt nie przewidywał mego przyjazdu i żadna władza nie zaleciła tym ludziom, aby się weselili: to była natura schwytna na gorącym uczynku. Nie mówię o obecnym stanie Galicji, bo to jest wyjątek spowodowany katastrofą; ale mieszkańcy trzech prowincji, które przebyłem, wyglądali o wiele weselej niż ludzie, których spotyka się na drodze we Francji. I nie dziw: kiedy się dowiedziałem o warunkach życia chłopów w Polsce i w Rosji, tłumaczyłem sobie doskonale szczęście tych ludzi...”

Nareszcie Annopol, Żytomierz, Berdyczów. Po oceanie zboża znów ocean Żydów. „Chmara Żydów obległa mnie, wszyscy czarni, z brodami, które podrygiwały w słońcu, z oczami, które błyszczały jak karbunkuły, i chciwymi rękami, które odpychałem laską, wszystkie bowiem chciały macać mój łańcuszek od zegarka, aby sprawdzić jego wagę i rzetelność złota...”

Za Berdyczowem Balzac wjeżdża w prawdziwy step ukraiński.

„To jest pustynia, królestwo zboża, preria Coopera i jej cisza. Tam zaczyna się gleba ukraińska, ziemia czarna i tłusta na głębokość pięćdziesięciu stóp, a często i więcej, której nie nawozi się nigdy i gdzie się wciąż sieje. Ten widok wprowił mnie w osłupienie; zapadłem w głęboki sen; o wpół do szóstej obudził mnie krzyk Hebrajczyka witającego ziemię obiecaną. Ujrzałem mały Luwr, świątynię grecką, ozłoconą zachodem słońca...”

Znalazłszy się w Wierchowni — owym „małym Luwrze” — Balzac jest oczarowany. Wyobraźni jego, żadnej rzeczy kolosalnych, odpowiada ten majątek „wielki jak departament Francji”, czterdzieści tysięcy dusz, jakie posiadają młodzi Mniszchowie, raby bijące pokłony i życzące jaśnie państwu „szczęśliwego królowania”. Uderza go wspaniałość obok braku komfortu. „Są tutaj lustra na dziesięć stóp wysokie, a nie ma obić na ścianach”. Wspaniałe obrazy szkoły włoskiej po ostatnim królu polskim, wuju właścicieli, i... cholera, która zmiata dokoła dziesiątki tysięcy ludzi.

Ale wrażenie wielkości przeważa. On, który nie bez satysfakcji swatał Annie młodego Bonapartego, tutaj, w tym pałacu, odczuwa tym żywiej — przesadnie może — splendory uprawnionego małżeństwa, które ma go spokrewnić z... królami Francji przez Marię Leszczyńską, nie licząc paru królów Polski:

„Służący, który mnie obsługuje, jest żonaty: przybył wraz z żoną, aby się pokłonić państwu. Oboje kładą się dostojnie na brzuchu, biją trzy razy o ziemię czołem i całują ci nogi. Ludzie umieją się korzyć tylko na Wschodzie. Tylko tam słowo „władza” ma sens. Trzeba panować jak car rosyjski albo nie brać się do tego. Trzeba też powiedzieć, że Michał Korybut, którego dobra poszły między Rzewuskich i Mniszchów, posiadał (za Ludwika XIV) sam całą Ukrainę, całe Podole, cały Wołyń i dobra w Galicji; trzy razy tyle co obecna Francja, i oto jego potomkowie po kądzieli mają z tego wszystkiego ledwo kilka wsi!... Jak rodziny upadają! Hrabina Anna i jej mąż przywieźli z Wiśniowca zegar Maryny Mniszchówny, carycy, która miała w swojej wyprawie (szczegóły znajdują się w ich archiwach) wiadro pereł wschodnich i sześć koszul. Wuj ich

to był ostatni król Polski. Przywieźli pani Hańskiej najpiękniejszego Greuze'a, jakiego widziałem, robionego przez Greuze'a dla pani Geoffrin; dwa Watteau, malowane przez Watteau dla pani Geoffrin; te trzy obrazy warte są osiemdziesiąt tysięcy franków. Obok tego dwa cudowne Leslie, jeden Van Dyck, Cranach, Mignard, Rigaud, wspaniałe; trzy Canaletto kupione przez króla od Rijzonico, trzy Rothari, piękniejsze od Greuze'a; słowem, dwadzieścia obrazów pierwszej klasy. Hrabina posiada już Van Dycka kupionego od Van Dycka przez jej pradziadka; Rembrandta etc. Co za obrazy!... Co za skarby w tych wielkich domach polskich! To przerażające, jak tu skarby ocierają się o barbarzyństwo..."

Pobyt w otoczeniu tych kochanych i przyjaznych osób jest dla Balzaka rozkoszą: gdybyż tylko nie klimat, tak straszny dla jego płuc! Druga ciemna strona to wiadomości, jakie dochodzą z Paryża: interesy wikłają się coraz bardziej, i to nie tylko jego, ale i interesy pani Hańskiej, w której imieniu zajmował się lokatą kapitałów. Francja przechodzi kryzys związany z bliskim przewrotem. Sytuacja staje się taka, iż nie bacząc na zimę Balzac puszcza się z końcem stycznia r. 1848 do Paryża. Przybywa i zastaje tam — rewolucję, ruinę swoich prac i nadziei. W tych gorących dniach nie ma miejsca na literaturę nie oddaną namiętnościom chwili. Pisarz myśli tylko o tym, aby uciec z Paryża i dobić z powrotem do Wierchowni, która coraz bardziej staje mu się jedynym schronieniem na świecie. Jakoż jeszcze we wrześniu r. 1848 przebywa znów tę samą drogę i znajduje się między swymi. Ale tym razem zmiana klimatu odbiła się jeszcze ciężiej na zdrowiu Balzaka: przebył zapalenie płuc, serce wypowiedziało posłuszeństwo, przechorował więcej niż rok, pielęgnowany przez panią Hańską i jej dzieci.

Wśród tego, najdroższy cel jego życia — małżeństwo — wciąż się odsuwa. Im bardziej Balzaka opuszczają siły, tym bardziej ciepia się tego małżeństwa, w którym skupiły się wszystkie jego ambicje, marzenia. Nic, zda się, już go nie obchodzi dzieło, sława; tylko to, aby Ewa została jego żoną; to jego duma, uwieńczenie jego życia, nagroda. Listy do matki, do siostry, pisane z Wierchowni,

wciąż mówią o tym. „Mogę żyć już tylko tam, gdzie jest pani Ewa; przywiązanie i jego słodczyce stały się koniecznością mego istnienia. Nie ma już we Francji ani sławy, ani ambicji, ani sukcesu; wszystko dla mnie to o n a... Zawód zabiłby mnie moralnie... Jeśli przegram tę sprawę, zadowolę się ulicą Lesdiguières i stoma frankami na miesiąc...” A w innym liście te zdumiewające słowa: „Jeżeli nie będę wielki przez *Komedie ludzką*, będę nim przez ten sukces, o ile przyjdzie...”

Tymczasem Ewa waha się; czując się królową w swoich dobrach, w otoczeniu kochających dzieci, boi się „czerwonego” Paryża, niepewnej przyszłości, wiecznych nieporządków finansowych Balzaka, którego dni wydają się zresztą policzone. Wciąż nie ma pozwolenia cara na to małżeństwo (niedawno odnaleziono list generał-gubernatora kijowskiego z formalną odmową); trzeba by jej rzec się całego majątku na rzecz córki. W tych warunkach wystarczy lada pretekst, lada chmurka, aby rzecz oddalić lub zepsuć; korespondencja Balzaka z rodziną wypełniona jest tą „wielką sprawą”. List jest w monotonii życia wiejskiego rozrywką; nikt nie ma tam tajemnic; przyzwyczajono się czytywać listy nadchodzące do Balzaka głośno; wielki pisarz drży ciągle, że mieszczański ton jego rodziny, małostki i kłopoty codziennego życia mogą spłoszyć jego damę. Zwłaszcza jakiś list matki, która, jak zawsze nerwowa i cierpka, połajała o coś syna. „Rozumiesz — pisze ten do siostry — że pani Hańska, która żyje tutaj bogata, kochana, uwielbiana, waha się wejść w świat, gdzie widzi same niesnaski, długi, kłopoty... i teściową, która łaje swojego maleńkiego, liczącego pięćdziesiąt jeden lat...”

Decyzja zmienia się ciągle; pisarz wciąż znajduje się między upojeniem nadziei a bólem zawodu. Kiedy się widzi tego genialnego człowieka, już naznaczonego piętnem śmierci a tak niesłychanie wytrwałego w swoim chceniu, tym lepiej rozumiemy nasilenie balzackich figur i ich pragnień.

W końcu ta wierna miłość, to gorące pragnienie przemogły wahania pani Ewy; może przyspieszył jej decyzję wyrok lekarzy nie wróżyący Balzakowi życia. Nie chciała może, aby umierał w rozpacz, jak ojciec Coriot, nie ziściwszy swoich marzeń.

Oto list, jaki Balzac wysyła do siostry nazajutrz po ceremonii. Ileż

naiwnej dumy bije z tego listu; z jakim upojeniem wylicza biedny geniusz jeszcze raz swoje dostojne koligacje!

„Wierchownia, 15 marca 1850.

„Droga siostro!

„Wczoraj w Berdyczowie, w kościele parafialnym Św. Barbary, delegat biskupa żytomierskiego, święty i cnotliwy kapłan, idealnie podobny do naszego księdza Hinaux, spowiednika księżnej Angoulême, pobłogosławił i skojarzył moje małżeństwo. Jest tedy od dwudziestu czterech godzin pani Ewa de Balzac, z domu hrabianka Rzewuska, czyli pani Honoriuszowa de Balzac, czyli pani de Balzac starsza. To już nie jest tajemnica i, jak widzisz, oznajmiam Ci ją najrychlej.

„Świadkami byli hrabia Jerzy Mniszech, zięć mojej żony, hrabia Gustaw Olizar, szwagier księdza hrabiego Czaruskiego, delegata biskupiego, proboszcza parafii berdyczowskiej. Hrabina Anna prowadziła matkę; obie nie posiadają się z radości. Ewa de Balzac oddała cały swój majątek dzieciom. Hrabia Jerzy jest dla niej może lepszy niż wielu synów dla własnych matek.

„Mimo wszelkich wysiłków mamy jeszcze trochę długów, to też będę musiał tego pracować; ale mamy pewność, że najpóźniej w roku 1852 stadło nasze osiągnie przynajmniej dobrobyt. Co się tyczy pani de Balzac, cóż Ci powiem jeszcze? Może budzić zawiści, ale, z wyjątkiem jej córki, nie ma w tym kraju kobiety, którą by z nią można porównać: to diament Polski i klejnot tej starej i świetnej rodziny Rzewuskich...

Twój brat Honoriusz
u szczytu szczęścia!“

U szczytu szczęścia... O, biedna komedio ludzka!

Prawie natychmiast po ślubie pani Ewa puściła się z mężem do Paryża. Diariusz tej drogi mamy w jej listach do córki, niedawno ogłoszonych po raz pierwszy. Galicja zalana jest wojskami rosyj-

skimi z powodu rewolucji na Węgrzech. Mamy opis całej podróży; znów okropny Berdyczów, schludniejsze Brody, smaczny obiad w Tarnowie, nocleg w Krakowie w hotelu Pod Różą. I tu znajdujemy w liście pani Ewy pierwszorzędną reklamę dla tego hotelu: wyborny pokój na pierwszym piętrze, bardzo obszerny, bardzo czysty, z wygodnymi łózkami; rozkoszna kawa ze śmietanką, „prawie tak dobra jak w Wierchowni“...

W maju r. 1850 małżonkowie przybyli na ulicę Fortunée, do owego pałacyku tak miłośnie od lat strojonego przez Balzaka. Zastali dom oświetlony i pełen kwiatów, ale zamknięty; służący, który go miał pilnować, dostał pomieszenia zmysłów... Rychło po przybyciu wystąpiły u Balzaka — którego organizm był do cna zniszczony — nawroty choroby sercowej i powaliły go na łóżko, z którego już nie miał powstać. Ostatnim, który go odwiedził, był Wiktor Hugo. „Wprowadzono mnie do salonu, gdzie na konsoli, na wprost kominka, stał olbrzymi marmurowy biust Balzaka. Świeca płonęła na środku salonu na bogatym stole, który miał zamiast nóg sześć prześlicznych złożonych posążków. Podeszła kobieta płacząc i rzekła: »Umiera. Lekarze opuścili go od wczoraj. Gangrena...«

„Czekałem kilka chwil. Świeca słabo oświecała przepychy salonu i wspaniałe obrazy Porbusa i Holbeina, wiszące na ścianach. Marmurowy biust wyłaniał się z cienia niby upiór człowieka, który miał umrzeć.

„Przebyliśmy korytarz, schody pokryte czerwonym dywanem, natłoczone dziełami sztuki, wazonami, posągami, obrazami, gablotkami pełnymi emalii, potem inny korytarz, po czym ujrzałem otwarte drzwi. Usłyszałem głośnie i złowrogie rżenie. Byłem w pokoju Balzaka.

„Uchyliłem kołdrę i ująłem go za rękę. Nie oddał mi uścisku.

„To był ten sam pokój, gdzie go odwiedzałem przed miesiącem. Był wówczas wesół, pełen nadziei, nie wątpił o swym wyleczeniu, pokazywał mi spuchniętą nogę. Dużośmy rozmawiali, zwłaszcza o polityce. Wyrzucał mi moją »demagogię«. On był legitymistą. Powiadał: Jak pan mógł wyrzec się tak spokojnie tytułu para Francji, najpiękniejszego po tytule króla Francji!

„Kiedym go żegnał, odprowadził mnie, idąc z trudem, aż do scho-

dów i wskazał mi te drzwi wołając na żonę: Pokaż mu dobrze wszystkie moje obrazy.

„Teraz pielęgniarka powiedziała mi: Umrze przed świtem.

„Zeszedłem unosząc w myśli tę siną twarz; mijając salon znów ujrzałem biust nieruchomy, niewzruszony, promieniejący blado, i porównałem śmierć z nieśmiertelnością...”

(Wedle innej relacji, podobno będąc już w agonii Balzac szepnął: „Sprowadźcie mi Bianchona...” Bianchon był to sławny lekarz i zacny człowiek... ale istniał tylko w *Komedii ludzkiej*.)

Opisuje dalej Wiktor Hugo pogrzeb Balzaka. „Przyszedł minister spraw wewnętrznych Baroche. Siedział w kościele obok mnie, na wprost katafalku i od czasu od czasu mówił coś do mnie. Powiedział: To był człowiek nieprzeciętny. — Odpowiedziałem: To był geniusz...”

Wiktor Hugo przemawiał nad grobem. „Nie wiedząc sam o tym — rzekł — czy chciał tego, czy nie chciał, twórca owego olbrzymiego i niesamowitego dzieła jest z silnej rasy pisarzy rewolucyjnych.”

Słowa te były nieraz cytowane, nieraz dyskutowane. Zapewne, dzieła Balzaka nie da się łatwo ująć jedną formułą; jest rozległe i wielkie, można z niego czerpać najsprzeczniejsze bodaj obserwacje i nauki. Niemniej nigdy nie byliśmy bliżsi przyznania słuszności Wiktorowi Hugo niż dziś. Bo oto patrzymy na zmierzch owego świata, który Balzac oglądał w jego zaraniu, który przedstawił i osądził z tak straszliwym jasnowidztwem prawdy. A prawda jest zawsze rewolucyjna...

Epoka literacka, w której wszedł w piśmiennictwo Balzac, była we Francji — podobnie jak i u nas — niezwykle twórcza i płodna. Po marazmie artystycznym, znamionującym panowanie Napoleona i początek Restauracji — okres wypełniony, obok pani de Staël, jednym nazwiskiem: Chateaubriand — nagle bucha nowa twórczość, zjawia się cała plejada pisarzy, zbliża się wielka rozgrywka między przeżytkami pseudoklasycyzmu a młodą szkołą romantyków. Zaczyna się od poezji: Lamartine, Wiktor Hugo, Vigny rewolucjonizują wiersz francuski, dając mu nie znany wprzód czar melodii i rozpiętość treści. Równocześnie pojawia się broszura Stendhala „Racine a Szekspir“ (1823), z temperamentem bluźniąca klasykom, formułująca teorie i dążenia romantycznego teatru. Popiera przykładem swoje znów teorie dramatyczne Wiktor Hugo, dając (1827) „Kromwela“ i poprzedzając go słynną przedmową. Ale zwłaszcza przedstawienie „Hernaniego“ Wiktora Hugo stało się wielką batalią, w czasie której przez miesiąc publiczność niemal biła się co wieczór w teatrze.

W powieści, równocześnie z Balzakiem, pojawia się kilka niezwykłych indywidualności. Mérimée'go opowiadania z czasów Karola IX ukazują się w 1829; „Notre Dame de Paris“ Wiktora Hugo w r. 1831. „Indiana“, pierwsza powieść George Sand, w r. 1832; „Panna de Maupin“ Gautiera w 1834; „Spowiedź dziecięcia wieku“ Musseta w 1836. Największy obok Balzaka powieściopisarz francuski, Stendhal, przesunął się prawie nie zauważony („Czerwone i czarne“ 1831).

Nasuwa się pytanie, jak połączyć Balzaka z jego epoką, jak wytłumaczyć sobie zjawienie się tego „ojca realizmu“ czy nawet „naturalizmu“ w pełni zwycięskiej kampanii r o m a n t y c z n e j. Strzeż-

my się zbytniego upraszczania. Ani romantyzm nie był oddzielony przepaścią od realizmu, ani Balzac nie był obcy natchnieniom romantycznym. Kiedy czytać program Stendhala w broszurze „Racine a Szekspir“, wydaje się on arcyrealistyczny w przeciwstawieniu do pseudoklasycznej konwencji. Te rzeczy, które najbardziej obrażały konserwatywnych widzów w pierwszych dramatach romantyków, to były właśnie ich śmiałości realistyczne.

Z drugiej strony, dzieło Balzaka stopniowo dopiero nasiąka owym „realizmem“, który wciąż walczy u niego z romantycznym, a raczej poetyckim pędem do wyolbrzymiania, do mitologizowania zjawisk. Taki *Jaszczur* to niemal fantastyczna bajka o hoffmanowskim posmaku. *Historia trzynastu* swoim przerostem fantazji, nadludzką potęgą działających w niej osób wkracza w sferę romantyzmu nie najlepszej próby. W *Kobiecie trzydziestoletniej*, obok uderzających swą nowością obserwacji psycho- i fizjologicznych, znajdujemy niewiarygodne historie o korsarzach etc. Ale czytamy te zwierzenia samego trzydziestoletniego Balzaka, kreślone z wycieczki rzeką Loarą:

„Czułem, jak myśli moje rosły wraz z tą rzeką, która ku morzu staje się ogromna. Och! wieść życie Mohikanina... Och, jak rozumiałem dzikich; jak cudownie rozumiałem korsarzy, awanturników, ludzi buntu... I powiedziałem sobie: »Życie to odwaga, dobry karabin, sztuka kierowania statkiem na pełnym morzu i nienawiść człowieka. Och, trzydziestu chwatów, którzy by się porozumieli z sobą i którzy by zwalili przesady*...“

Nie dziwny się tym sprzecznościom. Ten sam Balzac, który stworzył ewangelicznego *Lekarza wiejskiego*, powołał do życia piekielnego Vautrina.

Balzac trafił do publiczności ponad głowami krytyki. Istnieje we Francji zajmujące wydawnictwo¹, pokazujące, jak wyglądały największe arcydzieła literatury w sądach współczesnych: aż dziw, jak dalece taki np. *Ojciec Goriot* został niezrozumiany, ile ściągnął na autora małych zarzutów. Ale nawet i później, w dobie jego tryumfu, dzieło Balzaka długo było niedocenione. Powieść uchodziła

¹ J.-G. Prud'homme: „Vingt chefs-d'oeuvre jugés par leurs contemporains“.

wciąż za niższy rodzaj twórczości. Tak samo jak Molier nie wszedł do Akademii, bo był tylko komediopisarzem, tak samo Balzac był dla współczesnych tylko powieściopisarzem. Dopiero od niego datuje się ta olbrzymia przewaga, jaką zyskała powieść w literaturze XIX i XX w.

Łatwiej pogodzono się z tym fenomenem, któremu na imię Balzac, po śmierci pisarza, skoro już człowiek zeszedł z oczu i nie drażnił swoją zbyt zaborną indywidualnością. Taine (1857) już zestawia Balzaka z Szekspirem; zarazem sam, jako historyk, staje się przykładem, jak dalece balzakizm spojrzenia oddziałał na metody naukowe historii. A w powieści cała długa linia powieściopisarzy wyszła z żebra Balzaka; że tylko wymienię Flauberta („Pani Bovary“), Barbeya d'Aureville, Goncourtów, Zolę, aż do Prousta i dalej. Nie mniejszy miał wpływ na teatr: dzieło jego przyczyniło się do wprowadzenia na scenę dramatów współczesnego życia, które dawniej mogło być tylko tematem komedii.

Kult Balzaka we Francji wyraża się zarazem w drobiazgowym badaniu wszystkiego, co dotyczy jego dzieł i życia. Zamożny miłośnik literatury, Spoelberch de Lovenjoul, poświęcił całe swoje życie i środki materialne na skupianie rozproszonej puścizny Balzaka, listów, rękopisów. Bo też po śmierci Balzaka zaszła scena, która wydaje się jakby sceną z jego powieści. Ledwie wielki pisarz wydał ostatnie tchnienie, wierzyciele rzucili się na jego dom, wypchnęli za drzwi wdowę, zaczęli plądrować mieszkanie wyrzucając z szuflad papiery. Rękopisy, listy, korekty znalazły się u sklepikarzy z sąsiednich ulic, którzy zawijali w nie masło.

Dziś wszystko, co zdołano zebrać i ocalić, znajduje się w muzeum w Chantilly, a zawiaduje nim najkompetentniejszy dziś znawca życia Balzaka, Bouteron, który odwiedził przed kilku laty Warszawę i Lwów, w nadziei, że odnajdzie tu jakieś balzakowskie przyczynki. Dwa przykłady niech dadzą miarę pietyzmu, z jaką balzakiści odnoszą się do życia i puścizny swego bożyszcza.

Pewnego razu, kiedy bawiłem w gabinecie Bouterona w Paryżu, wydobył on z szuflady okazały plik papierów i pokazał mi go. „To są — mówił śmiejąc się — akta Fukiera w Warszawie.“ Dowiedziałem się, że sławny warszawski handel win stał się, na przeciąg

paru miesięcy, punktem najżywszego zainteresowania balzakistów. Jakiś Francuz, bawiący w Polsce z okazji plebiscytu śląskiego, opisując Warszawę wspomniał o Fukierze, „gdzie kosztuje się stuletnich tokajów i gdzie w księdze pamiątkowej, wśród mnóstwa historycznych nazwisk, widzi się nazwiska Teofila Gautier, Balzaka“ etc. — W balzakistów jakby piorun strzelił: znali dzień po dniu niemal życie Balzaka, który przecież nigdy nie był w Warszawie: czyżby się tam wykradł bez ich wiedzy? Ale kiedy? Nie ma wręcz w życiu pisarza momentu, gdzieby się dało pomieścić ów pobyt. Dalejże pisać listy do autora artykułu, do Fukiera, do ambasady, aż wreszcie się wyjaśniło, że u Fukiera... nie ma podpisu Balzaka, a nazwisko rzucone było przez autora artykułu na wiatr.

Drugi przykład.

Przed kilku laty zgłosiła się do tegoż Bouterona młoda Amerykanka z tym, że chciałaby opracować porównawczo teksty Balzaka z uwzględnieniem kolejnych wydań i korekt. Bouteron oświadczył jej, że to jest praca całego życia dla kilkunastu ludzi; ale poradził, aby sobie obrała w tym celu jeden utwór. Zapytał, ile czasu może temu poświęcić. — Dwa lata. — Za mało! W istocie Amerykanka strawiła nad jedną nowelą pt. *Pierrette* (27 korekt!) cztery lata; przez ten czas wyszła w Paryżu za mąż, urodziła dziecko i po czterech latach wydała swoim kosztem ową *Piotrusię*, opracowaną porównawczo.

Dziś kult i poczytność Balzaka na obu półkulach świata znajduje się może na szczytowym punkcie. Ale czyta go kto inny i z innych pobudek niż dawniej. Niegdyś był Balzac pisarzem „wykwintnym“ — dziś jest pisarzem niemal ludowym. Niegdyś czytały go namiętnie kobiety, dziś zagłębiają się w nim i wciąż wracają do niego mężczyźni. Psychologiczne zdobycze Balzaka eksploatuje wielu jego następców, ale balzakowskie spojrzenie na społeczeństwo i ujęcie jego mechanizmu pozostało do dziś dnia czymś jedynym, niedościgłym.

Wspomniałem kilkakrotnie w ciągu tej pracy nazwisko Stendhala. Bo też Stendhal swoją współczesnością, swoją społeczną koncepcją powieści i swoją bystrością psychologa najbardziej pokrewny jest Bal-

zakowi. Dopełniają się wzajem. Otóż kiedy „Chartreuse de Parme“ ukazała się w r. 1839, Stendhal — o kilkanaście lat starszy od Balzaka — był prawie zupełnie nieznan; Balzac był na szczycie sławy. I ta powieść Stendhala miała przejść nie zauważona. I oto Balzac pisze obszerne studium — niemal całą książkę — o tej powieści Stendhala, oddając hołd jej genialności; studium, które czytając Stendhal razem śmiał się i płakał ze wzruszenia. I jeżeli Balzac znalazł wobec potomności w Stendhalu potężnego rywala, jeżeli dziś wymawia się obok siebie te dwa nazwiska „Balzac-Stendhal“, to przyczynił się do tego niemało sam Balzac swoim rewelacyjnym studium o Stendhalu. To jest nieobojętny rys szlachetności, dobroci, wielkoduszności jego charakteru, dzięki którym życie Balzaka, jego osobowość działa na nas — mimo wszystkie słabostki — tak pociągająco, budzi tyle sympatii. To życie znane jest dziś jak mało czyje; cały legion „balzakistów“ przeorał je wzdłuż i wszerz. Nie darowano genialnemu pisarzowi niczego — żadnego kłamstewka, żadnej próżności, śmieszności. I Balzac znosi te wszystkie rewizje i szperania; nie maleje ani trochę, raczej urasta w świetle szczegółowej rzeczywistości. Ten wielki realista nie obawia się zetknięcia z realnością. I im lepiej, im bliżej się go poznaje, tym bardziej w ostatecznym wrażeniu, w naszej myśli, w naszej wyobraźni wyłania się z mroku jego potężna postać niby z chropawego złomu granitu. To ów Balzac z pomnika Rodina.

Pozostaje mi kilka słów powiedzieć o Balzaku w Polsce. Jak już wspomniałem, czytywano go za jego życia w oryginale, co określa tym samym sferę, która go czytała; polskich współczesnych przekładów Balzaka było dziwnie mało¹. Zaczęto go tłumaczyć na większą skalę około roku 1880. Wówczas przełożono (między tłumaczami byli A. Sygietyński, W. Marrené, Hajota i i.) duży złom *Komedii ludzkiej*. Wadą tego wydawnictwa był dobór utworów: wydano dziesiątek tegich powieści Balzaka, ale nie dających pojęcia o istocie *Komedii ludzkiej* przez brak związków między sobą, brak powtarzających się figur, brak owej swoistej wieloplanowości Balzaka.

¹ Dokładna bibliografia przekładów Balzaka w Polsce ukazała się w r. 1934 w pracy p. Korwin-Piotrowskiej, *Balzac en Pologne*.

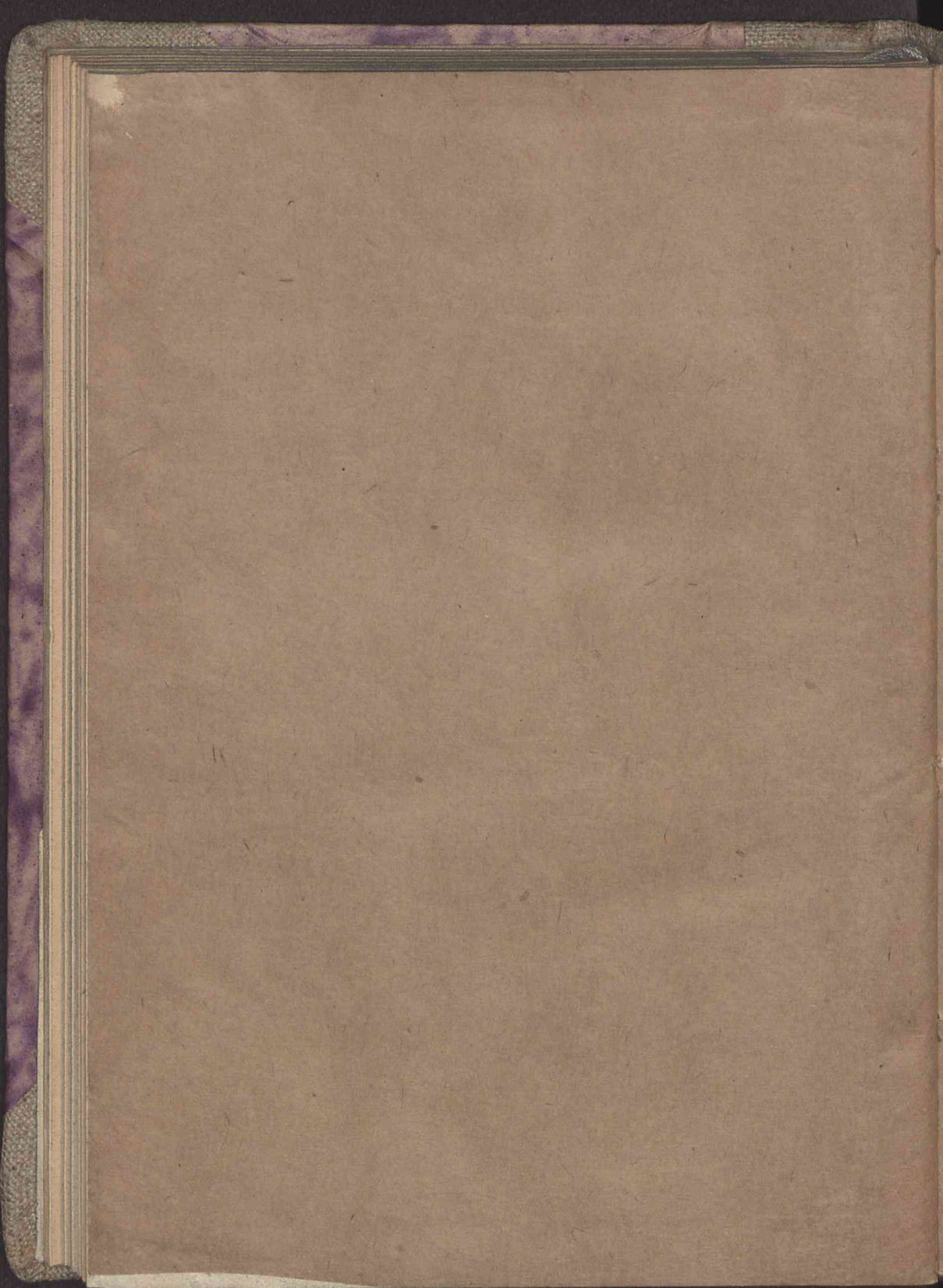
Być może, iż na owe czasy pewne utwory wydały się za śmiałe i że je dlatego pominięto; np. cały cykl *Lucjana de Rubempré*, stanowiący rdzeń *Komedii ludzkiej*, jak również liczne drobne opowiadania, spajające niby cement wielkie jej człony. W rezultacie, to co dano polskim czytelnikom, to było dziesięć dobrych powieści Balzaka, ale to nie była *Komedia ludzka*.

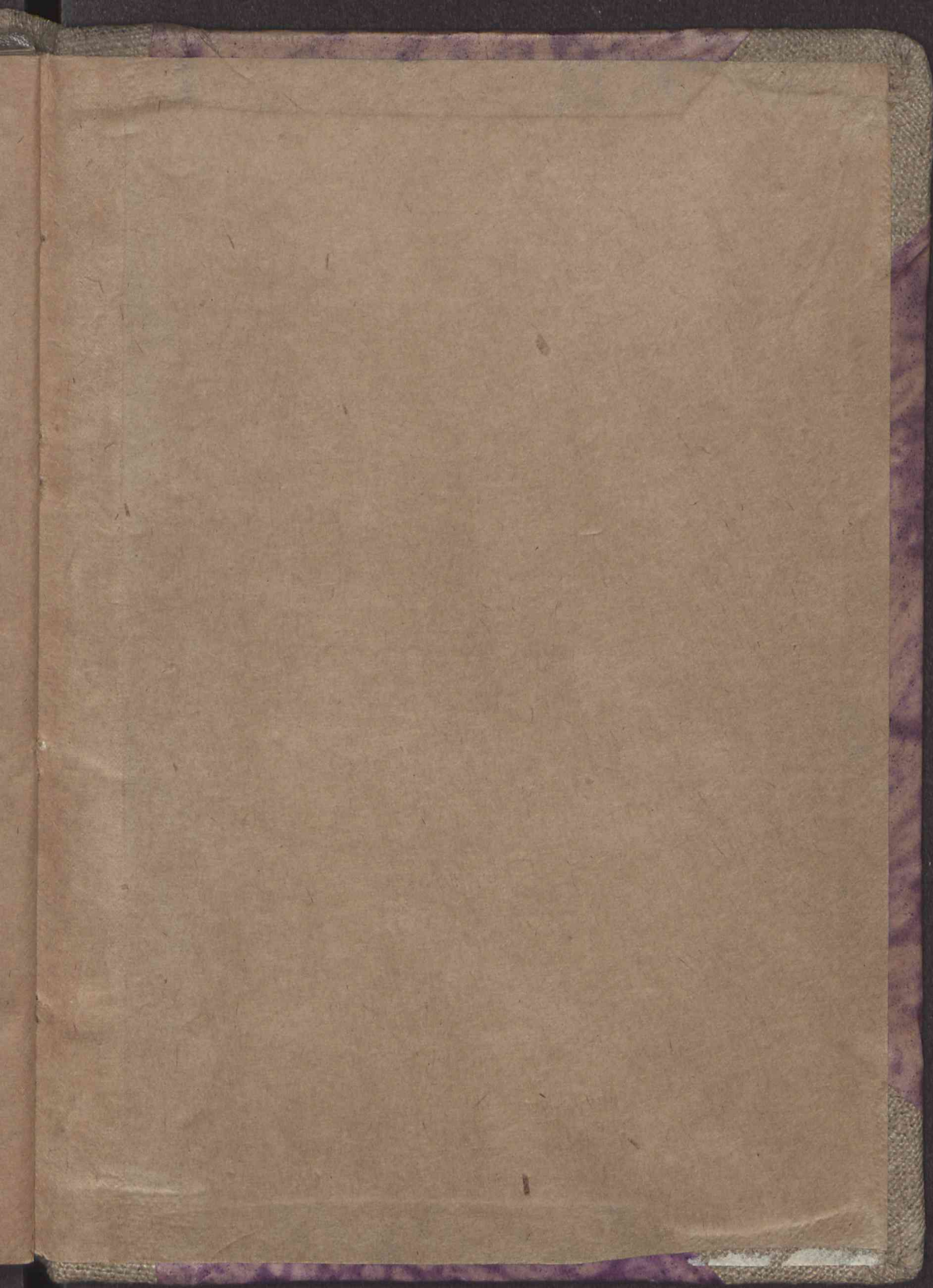
Brakowi temu starał się zaradzić autor niniejszej książki, wydając i komentując w latach 1908—1930 kilkadziesiąt najznamienniejszych tomów Balzaka. Oby się tym przyczynił do rozkwitu nowego balzakizmu w Polsce. Bo aby zrozumieć przez książkę siebie samego, życie, świat i ludzi, nie ma bodaj dotąd lepszego sposobu niż — lektura Balzaka.



S P I S R Z E C Z Y

I. DZIECIĘCTWO I MŁODOŚĆ	9
II. SZUKANIE DROGI	21
III. W POGONI ZA FORTUNĄ	27
IV. PIERWSZE TRYUMFY	34
V. LISTY KOBIET	41
VI. „CUDZOZIEMKA“	49
VII. „KOMEDIA LUDZKA“	55
VIII. „KOMEDIA LUDZKA“ NA TLE EPOKI	60
IX. PARYŻ — WIERZCHOWNIA...	70
X. BALZAC NA CODZIEŃ	73
XI. NA SZCZYCIE	82
XII. DO WIERZCHOWNI	99
XIII. DRUGIE ŻYCIE BALZAKA	108





Dolnośląska Biblioteka Publiczna we Wrocławiu



100223879